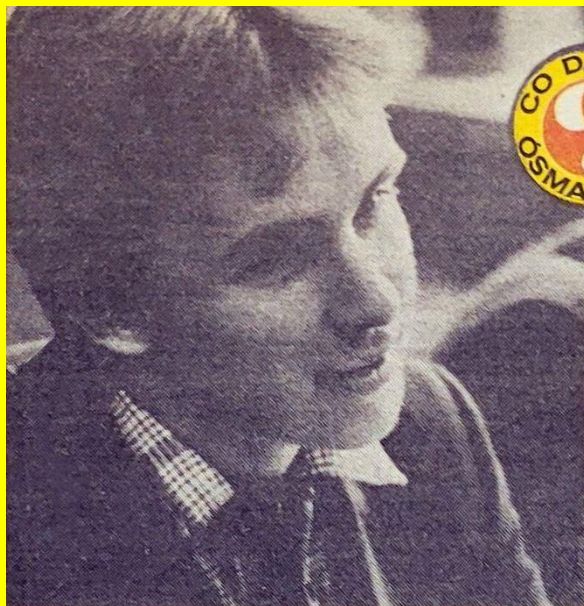
CZWARTEK Nr 20 85-02-14 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nasza telefoniczna poradnia zawodowa oczekuje dziś pierwszych interesantów



- Jeśli nie wiesz jaki wybrać zawód
- Jaka szkoła najbardziej odpowiadała-by Twoim możliwościom i zaintere-sowaniom

zadzwoń dziś do „Świata Młodych”. Przy redakcyjnym telefonie 214-706 (Warszawa) w godz. 15.30-17.30

DYŻUROWAĆ BĘDZIE PSYCHOLOG Z PORADNI WYCHOWAWCZO-ZAWODOWEJ, Z KTÓRYM NA POWYŻSZE TEMATY MOŻESZ POROZMAWIAĆ.

W sprawie szkolnych inwestycji i nie tylko

MOŻEMY BYĆ OPTYMISTAMI

(Inf. wł.). Pomoc szkołom, materialna i wychowawcza, by stały się one na miarę potrzeb Polski XXI wieku, była tematem pierwszej narady przewodniczących wojewódzkich komitetów Narodowego Czynu Pomocy Szkole, która odbyła się 23 stycznia br. w pięknej sali kominkowej Sejmu.

Komitety te powstają wszędzie tam, gdzie rodzi się taka potrzeba. Jest ich już 1595, w tym -1260 na wsi. Działa w nich ok. 25 000 osób. Konto Funduszu Pomocy szkole stale rośnie. Pomoc przychodzi również ze strony przyjaciół z zagranicy - Polonii i przedsiębiorstw polonijnych. Np. firma Interfragrances ufundowała 3 pracownie dla szkół w Warszawie i Poznaniu. - **Czeka nas rok konkretnych działań** - powiedział prof. Zbigniew Gertych, przewodniczący krajowego komitetu. - **Musimy dobrze wykorzystać poparcie, jakim cieszy się Czyn Pomocy Szkole**.

Ale nie chodzi tylko o pomoc materialną. Również ważne jest wspólne, rodziców i szkoły, właściwe działanie wychowawcze. - **Każdy musi widzieć, że nie łata budżetu oświaty, ale pomagając - inwestuje w przyszłość własnego dziecka** - powiedział m. in. minister oświaty i wychowania Bolesław Faron. – Za sobą mamy odpowiednie zapisy i niebagatelne złotówki. Możemy być optymistami!

W roku 1990 będzie o 13 mln więcej uczniów w polskich szkołach niż w roku 1980. Jakie potrzeby zrodzą się tylko z tego faktu?! A nie można przecież zapominać, że ciągły brak pieniędzy doprowadził do ruiny wiele szkół, nie pozwalał na budowanie nowych. Do dziś zebrano na budowę szkół 1,2 miliarda zł. (Budowa jednej szkoły kosztuje 100-200 milionów zł).

Na posiedzeniu mówiono także o ogromnym przeciążeniu uczniów nauką i wynikającym z tego zagrożeniu ich zdrowia. - Zdarza się - mówił prof. Kozakiewicz, przewodniczący zespołu wychowawczego - że uczniowie początkowych klas szkoły podstawowej mają osiem lekcji dziennie(!).

Ułatwienie dostępu do kultury młodzieży z prowincji i ze wsi to również warunek nowoczesności szkoły. Na wieś nie dociera często książki, wyjazdy do dużego miasta do teatru, muzeum, na wystawę coraz częściej są nierealne, bo np. nie można wynająć autobusu. Każde dziecko wiejskie powinno być przynajmniej raz w roku w teatrze!

Społeczeństwo polskie kolejny raz chętnie zadeklarowało swą pomoc - tym razem szkołom. Wiele już zrobiono - nie wolno marnować takiego wysiłku!

KRYSTYNA KLIMOWICZ
Fot. **M. Szymański**

UWAGA MIŁOŚNICY MORZA! TU KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

Powtarzamy za audycją „Latającego Holendra”, którą obejrzeliście na srebrnych ekranach w dniu 9 lutego – ZADANIE MIESIĄCA:

„Czułym”, „Sołdek”, „Melitopol” - to nazwy statków zbudowanych po wojnie w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Z których stoczni pochodzą te statki?

Rozwiązania prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych do końca lutego pod adresem: Klub Zdobywców Oceanów „Latający Holender" TV, 80-247 Gdańsk, ul. Sobótki 15. (wm)

Owce producentkami paliwa do samochodów

Nowozelandzki naukowiec David Lowe jest zdania, że 72 mln owiec w Nowej Zelandii mogłoby w przyszłości stanowić cenne źródło energii. Obliczył on, że dzienna porcja odchodów owcy zawiera wystarczającą ilość metanu, by zaopatrzyć niewielką ciężarówkę na 40 km jazdy.

Ogólna dzienna dawka odchodów nowozelandzkich owiec wynosi 1000 ton. Wystarczyłoby tylko zaprojektować urządzenie przetwarzające te odchody na metan, aby uzyskać praktycznie niewyczerpalne źródło energii.

DLACZEGO?

Przeraża mnie wandalizm jaki obserwuję w pociągach i autobusach. Gdy jadę do szkoły, widzę pocięte siedzenia, głupawe napisy na fotelach, na ścianach. Ktoś oznajmia, że kogoś kocha, ktoś, że zna brzydkie wyrazy.

Czy rzeczywiście, jeśli kimś targają tak potężne uczucia, musi dawać im upust w ten sposób? Miliony ludzi się kochają i miliony znają brzydkie wyrazy i nie afiszują się z tym. Pocięte siedzenia! Moim zdaniem nikt przy zdrowych zmysłach tego nie robi. Może to jakaś choroba psychiczna?

Co Wy na to?

Sylwia M. z Gdyni
(lat 14)

Kto to taki Szekspir?

(PAP). Wydawałoby się, że kto jak kto, ale Anglicy powinni wiedzieć kim był Szekspir. Jednakże kiedy jedna z gazet przeprowadziła sondaż w kilku szkołach Liverpoolu, padły najróżniejsze odpowiedzi. Pewien uczeń twierdził np., że Szekspir był... rzymskim cesarzem. Tylko jeden uczeń napisał w ankiecie, że w jego domu jest jakaś książka tego wielkiego dramaturga. No i proszę! Pod latarnią najciemniej...

Chorobotwórcze bakterie strzegą antyków!

Taki był mniej więcej sens komunikatu nadanego w radio przez policję hrabstwa Norfolk (W. Brytania). Chodzi o to, że poprzedniego dnia z kolekcji pewnego bogatego Anglika zniknęło kilka antyków, w których ukryte były... ampułki z bakteriami chorobotwórczymi. Na taki środek ostrożności zdecydował się on po poprzedniej kradzieży. Liczy na to, że grabieżców będzie można rozpoznać na podstawie symptomów choroby, kiedy zwrócą się oni do lekarza. O tym, że w następstwie takich przedsięwzięć może wybuchnąć epidemia, zapobiegliwy kolekcjoner nie pomyślał...

Ocalenie toromiro

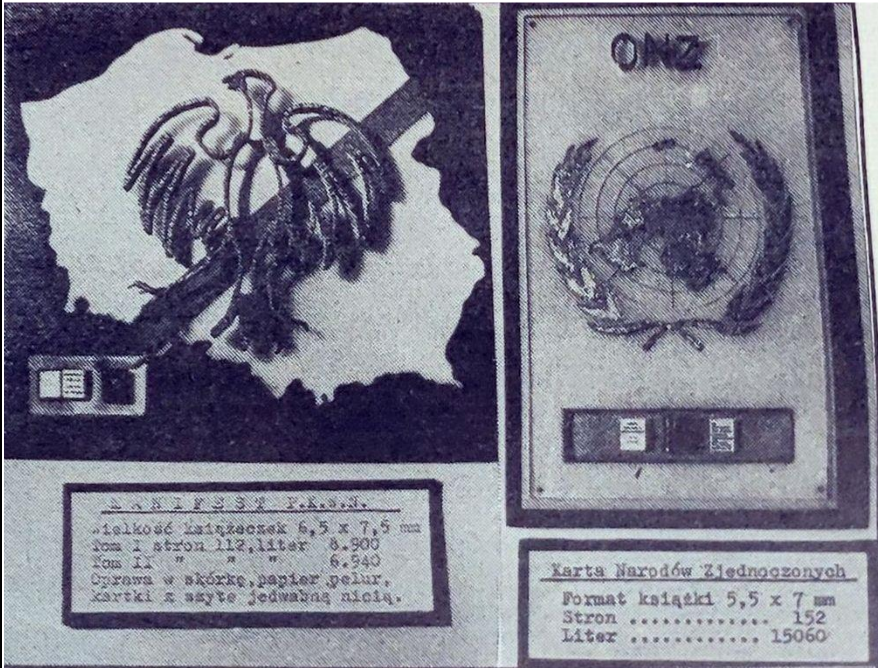
(„Poznaj świat”). Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej używali od wieków drewna z miejscowych drzew o nazwie toromiro; z niego budowali chaty i łodzie, na deszczułkach z tego drewna zapisywali teksty. Tak było do XVIII w., kiedy Europejczycy zawieźli na wyspę pierwsze owce - zwierzęta te objadały korę z drzew toromiro, zadeptywały i wyskubywały młode drzewka. Na początku naszego stulecia wyrosło na wyspie tylko jedno dorosłe drzewo toromiro, a w 1962 r. nie było już żadnego.

Wydawało się, że ten endemiczny gatunek wypadnie uznać za wymarły. Okazało się jednak, że nie. Podczas swego pobytu na Wyspie Wielkanocnej Thor Heyerdahl zebrał nasiona z ostatniego rosnącego jeszcze drzewa. Nasiona te przekazał do ogrodu botanicznego w Göteborgu, a miejscowi botanicy zdołali wyhodować z nich sadzonki. Część z nich przewieziono do ich ojczyzny - na Wyspę Wielkanocną, gdzie będą rosły, oczywiście już należycie zabezpieczone.

MINIATURKI

(CAF). Pierwsza pochodzi z 1934 roku. Do dziś powstało tych miniaturowych cacek około 60. Ich autorem jest inż. Zygmunt Szkocny z Katowic. Zaczął 50 lat temu, zafascynowany przeczytaną informacją w prasie, że gdzieś w świecie ktoś tworzy takie miniaturowe książeczki. Postanowił spróbować sam. Przez lata wypracował swoją własną, oryginalną technikę. Wszystkie jego egzemplarze można oglądać i czytać jedynie przez lupę. Najmniejsza książeczka ma wymiary 1x0,8 mm, są wśród nich pozycje poświęcone życiu Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Marii Skłodowskiej-Curie, Tadeusza Kościuszki, Karcie ONZ...

Fot. CAF





REMANENT

Kończymy dziś nasz kielecki serial - cykl artykułów, jakie powstały podczas pobytu grupy korespondentów HSI „Świata Młodych" w kieleckim Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. Znaleźli się czytelnicy, których bardzo te nasze wypady w różne miejsca kraju zainteresowały i chcieliby do naszej paczki dołączyć. Jak to zrobić? — pytają. Odpowiadam: Zostać korespondentem HSI! Ponieważ dość dawno nie przypominałam zasad ubiegania się o legitymację HSI „ŚM", podaję je w dużym skrócie. Członkiem „światomłodowego" HSI może zostać każdy, kto przyśle pod adresem naszej redakcji co najmniej trzy korespondencje o pracy swojego środowiska harcerskiego (zastępu, drużyny, szczepu); mogą to być informacje ze zbiórek, rajdów, zimowisk, obozów, ciekawych Waszym zdaniem imprez. Jeśli zostaną Wasze artykuły zakwalifikowane do druku w gazecie, wówczas stajecie się pełnoprawnymi korespondentami „ŚM". Na potwierdzenie tego faktu otrzymujecie odznaki oraz legitymacje i odtąd już możecie uczestniczyć we wszystkich organizowanych przez nas imprezach. Dodam jeszcze, że zdobycie odznaki zobowiązuje do systematycznego nadsyłania korespondencji - co najmniej jednej w miesiącu.

A teraz, uwaga! pierwszą w 1985 roku przyjętą do naszego klubu korespondentką jest:

ANKA SZUKALSKA z Bydgoszczy

Gratuluję! Odznakę i legitymację wręczę Ci Aniu na najbliższym naszym spotkaniu (o jego miejscu i terminie niebawem cię zawiadomimy).

Konkurs „Moje harcerstwo" rozstrzygnięty

Autorów najciekawszych naszym zdaniem prac nagradzamy książkami o tematyce harcerskiej. Oto oni:

Ewa i Iwona Kwiatkowskie, Pińczów
Ewa Piątkowska, Barciany
Anna Szukalska, Bydgoszcz
Justyna Ruszpel, Ładzyń
Konrad Maziarz, Malinie
Agnieszka Kwaśniewska, Kraków
Anna Siemieńczyk, Gródek
Beata Grochal, Barcin
Iwona Wochowska, Bytom
Anna Gołębiowska, Lębork
Wioletta Więcka, Więckowy
Beata Wiatrak, Krotoszyn
Agnieszka Kozłowska, Barciany
Nina Wawer, Lublin
Anna Baran, Krosno
Teresa Felix, Katowice
Elżbieta Gleba, Biała Piska
Jolanta Panuszka, Brzeszcze
Małgorzata Kluskowska, Kamieniec Pom.
Aleksandra Nowak, Poznań

Ponadto wyżej wymienionym wraz z nagrodą wysyłam numery „Świata Młodych", w których wydrukowaliśmy ich prace, a także archiwalne wydania „Biblioteczki Zastępowego" (przydadzą się na pewno w drużynie). Natomiast tym wszystkim, których prace wydrukowaliśmy w gazecie zaliczam po jednej korespondencji na konto ewentualnych Waszych starań o przyjęcie do klubu HSI. Teraz już tylko krok (no, może dwa) dzieli Was od zdobycia odznaki HSI.

Czekając na ciekawe listy, pozdrawiam wszystkich korespondentów jak i sympatyków HSI naszym harcerskim

Czuwaj!
MARIA JAWORSKA

Docinają, bo nie rozumieją

W ostatnim czasie w „Świecie Młodych" a także w innych podobnych gazetach zaczęły się pojawiać listy harcerzy, którzy skarżą się, że środowisko im przeszkadza, docina, niszczy ich pracę. Ja miałam ten sam problem. Piszę „miałam", bo już z niego wybrnęłam. Dlatego chciałam podzielić się swoimi doświadczeniami na ten temat.

Gdy byłam w szóstej klasie na moim osiedlu powstała nowa szkoła. Przeniosłam się do niej, ale pozostałam w szczepie harcerskim w swojej starej szkole. W klasie nikt o tym nie wiedział. Kiedy byłam siódmoklasistką, w mojej nowej szkole zaczął powstawać szczep. Wstąpiłam do niego i założyłam drużynę zuchową „Leśne skrzaty". Naturalne więc było, że zaczęłam przychodzić do szkoły w mundurze. I wtedy okazało się, że jestem jedyną w klasie harcerką. Zaczęły się docinki typu „harcerz, bo się usmarczesz", „o harcerzyk" itd. Na początku próbowałam odpowiadać, bronić się, ale szybko zrozumiałam, że to nie ma sensu. Potem ignorowałam docinki, ale to też niepomagało. Klasa dalej śmiała się ze mnie i nazywała „harcerską frajerką".

Byłam załamana, nie wiedziałam co z tym zrobić, ale wiedziałam, że drużyny nie zostawię. „Leśne skrzaty" rozrosły się, były całkiem dobrą drużyną, a ja byłam zachwycona moimi zuchami. Po którejś wyjątkowo udanej zbiórce zaczęłam opowiadać o niej w klasie. I w ten sposób trzech chłopaków zapragnęło być moimi przybocznymi. Wzięłam ich do drużyny na próbę. Zaliczyli ją, mają już krzyże i obóz za sobą. Są zafascynowani harcerstwem. I proszę, oprócz nich do ZHP wstąpiło ponad pól mojej klasy! Mimo że nie jesteśmy już uczniami tej samej szkoły, bo skończyliśmy podstawówkę, wszyscy ci ludzie są nadal w harcerstwie. I są mi wdzięczni za to, że wciągnęłam ich do organizacji.

Anka z Warszawy

DYREKTOR I JEGO SZKOŁA

czyli zapis z krótkiej rozmowy z dyrektorem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach

„Świetny organizator" - to pierwsza opinia jaką usłyszałem o dyrektorze kieleckiego PLSP. Artysta i dobry organizator, to prawie połączenie ognia z wodą, a czy to w ogóle jest możliwe do połączenia - zastanawiałem się.

- Nie jestem wyuczonym plastykiem - tłumaczy się dyrektor Tadeusz Maj. - Skończyłem tylko historią sztuki i może dlatego nie bywam roztargniony, nie noszę głowy w chmurach, jak to się przypisuje artystom. Oprócz tego nasze grono nauczycielskie jest znakomite i to jest chyba tajemnica tego, że wiele rzeczy nam wychodzi.

Jesienią „Plastyk" będzie świętował swój jubileusz i już teraz jest wielki ruch wokół całej sprawy. Uczniowie ostatniej klasy robią ogrodzenie wokół szkoły - to ich praca dyplomowa. Bo, jak twierdzi dyrektor, szkoła powinna wyglądać jak liceum plastyczne, a nie tak szaro i nijako jak inne przybytki szkolne. A budynek liceum i oddalony o dwa kroki internat, a także warsztaty z magazynami, to istne dobrodziejstwo zwłaszcza, gdy sięgnie się pamięcią 40. lat wstecz. Wtedy to szkoła rozrzucona była po całych Kielcach, a jej trzon wraz z pracowniami znajdował się w piwnicach miejscowego domu kultury. Od siedemnastu lat są już w obecnej siedzibie i faktem jest, że drugiej tak wyposażonej szkoły można szukać ze świecą.

Uczeń poznając tajniki swojego przyszłego zawodu powinien pracować z najnowocześniejszymi najlepszym – jak zaznacza dyrektor-sprzętem. I rzeczywiście, zwiedzane przez nas pracownie rzeźby, meblarstwa, tkactwa w pełni to poświadczają. Każda grupa (bo trudno tę nazwać klasą) ma na zajęciach z przedmiotu zawodowego dwóch nauczycieli, średnio przypada jeden wykładowca na 6 uczniów. Toteż trudno się dziwić, że nauczyciele przedmiotów zawodowych traktuje się nieco inaczej; razem z uczniami pracują, wspólnie coś tworzą, brudzą się. Nauczyciel przestaje być belfrem, jest pó prostu doświadczonym kumplem. Ale też żaden nauczyciel sam nie uczyni z ucznia artysty. Zdolności, talent muszą być wspierane pracowitością. Zdolny, ale leniwy może być w pierwszej kolejności kandydatem do rozstania się ze szkołą. A jak to wygląda w „Plastyku"? Sami uczniowie nazywają „ostatnimi Mohikanami" tych, którzy mają zapał i chęć do pracy, i naukę w liceum traktują poważnie.



Uczniowie kieleckiego „Plastyka" na zimowym plenerze w Bodzentynie

Aby zapewnić Uczniom jak najczęstszy kontakt ze sztuką robi się tu dużo ciekawych rzeczy. Chodzą na koncerty, wystawy, zapraszają do, siebie reżyserów, malarzy, aktorów. Na te cele pieniędzy się nie żałuje. Niestety, bardzo często dobre chęci dyrekcji nie spotykają się z należytym odzewem wśród uczniów. Mimo że samorząd ma pełne uprawnienia, to dyrektor nazywa jego działanie po prostu fikcją. Trudno sobie wyobrazić, że sprawa tak dla uczniów wspaniała jak dzień bez „przylufienia" upadła - nikomu z uczniów nie chciało się nawet wywiesić w pokoju nauczycielskim kartki z informacją na ten temat. Sama propozycja wyszła zresztą od dyrektora.

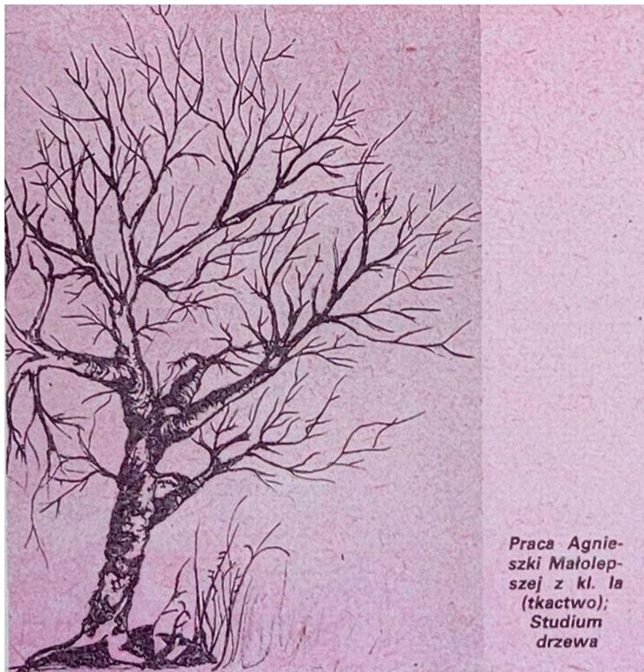
Znacznie korzystniej prezentuje się za to szkolne koło PTTK, bardzo znane w Kielcach, a nawet poza nimi. Organizuje ono m. in. rajdy dla uczniów szkół plastycznych. To wielka konkurencja dla wszystkich organizacji działających w „Plastyku", także dla harcerstwa, które jest tu jeszcze w powijakach. Ma jednak mocne poparcie dyrektora, który, gdyby mógł, to by nieba harcerzom przychylił. Dyrektorowi marzy się, by wszelka działalność pozalekcyjna uczniów, od pomysłów po wykonanie pozostawała w ich rękach - żadnego sterowania z góry.

Zaskoczyła mnie zupełnie informacja o działalności spółdzielni uczniowskiej. Fakt, że spółdzielców jest niewielu, ale to co robią ci „roztargnieni artyści" jest dla mnie rewelacyjne. Mają znakomite obroty i ze swego sklepiku zbijają nawet spore pieniądze. Jak w większości spółdzielni sprzedają słodycze, napoje, przybory szkolne, ale też artykuły reglamentowane, a przed świętami to nawet karpie i śledzie. Odnotuję tu jeszcze, że jest to najlepsza w województwie spółdzielnia uczniowska.

Równie ciekawie prezentuje się działalność szkolnego radiowęzła - który przygotowuje programy literackie, muzyczne, dzienniki z życia szkoły - a także redagowana przez uczniów gazetka pod nazwą „Przedświt". Można w niej znaleźć recenzje teatralne, książkowe, wiele ciekawych informacji o sztuce, jak również próbki twórczości literackiej i plastycznej kieleckich „plastyków".

Podczas krótkiej rozmowy z dyrektorem Tadeuszem Majem bardzo chciałem wyciągnąć coś z niego o jego własnej twórczości. Niestety, za każdym razem kiedy tylko zaczynaliśmy ten temat, zaraz zbaczaliśmy na sprawy szkoły. Ona ciągle była najważniejsza. Trudno się zresztą dziwić, skoro Tadeusz Maj sam przyznał, że to swoje dyrektorowanie traktuje jako oryginalne hobby (ciekawostka: dyrektor na szkolnej liście płac plasuje się zaledwie na 48 miejscu). Poza tym zajmuje się grafiką wydawniczą; wykopuje plakaty, ilustracje, wystawia swe prace. Jednym słowem jest żywym dowodem, że można tworzyć, być artystą i zarazem zajmować tak mało artystyczne stanowisko.

Piotrek



Praca Agnieszki Małolepszej z kl. Ia (tkactwo); Studium drzewa



Jestem brzydulą

Mam 14 lat i jestem uczennicą VII klasy. Piszę do Was, ponieważ mam wielki kłopot. Nie chodziłam jeszcze z żadnym chłopcem, chociaż dziewczyny z mojej klasy zmieniają ich jak rękawiczki. Ja chciałabym poznać tylko jednego. Wiem, że ma na imię Jarek i chodzi do VIII klasy. Boję się, że mnie wyśmieje, bo sama wiem, że jestem brzydulą. Moje koleżanki sądzą co prawda, że nie jestem taka brzydka, ale ja mimo wszystko boję się nawiązać kontakt z Jarkiem. Błagam, pomóżcie mi. Nie wiem co mam robić.

„Zrozpaczona"

OD REDAKCJI: Dlaczego sama się „katujesz"? Po co? Jeśli nawet jesteś mniej ładna niż chciałabyś, to czy rozpacz z tego powodu coś zmieni? Popatrz na siebie życzliwiej i odnajdź w sobie choćby jeden szczegół urody wart zaakceptowania. i myśl tytko o nim. O tym „dobrym", „bardzo ładnym", „sympatycznym".

To pierwsza sprawa. A następna – to Twój stosunek do chłopców. Czy Ty ich nie obrażasz podejrzeniem, ża interesują się tylko efektownymi dziewczynami? Czyżby Twoi znajomi chłopcy byli tak prymitywni? Czyżby nie szukali towarzystwa dziewcząt inteligentnych, dowcipnych, sympatycznych, takich z którymi jest po prostu intersująco ciekawie.

Czyżby Twoi koledzy traktowali dziewczyną tylko jako przedmiot „do szpanowania"?

A co Ciebie Interesuje w Jarku? Czy także tylko uroda? Dlaczego chcesz go poznać? Czego się po nim spodziewasz? Myślałaś o tym? To na pewno ważniejszy temat do rozmyślań niż zamartwianie się mankamentami urody.

(bj)

Jak przełamać samotność?

Jestem samotna, może ktoś zechce do mnie napisać. Chodzę do VII klasy. Stale siedzę w domu i nudzę się, ponieważ nie mam gdzie wyjść. Chce mi się płakać, gdy widzę jak moje koleżanki są zadowolone, bo mają przyjaciół, chodzą z chłopcami.

Jolanta

OD REDAKCJI: Otrzymujemy masę listów od osób samotnych. Każdy taki list nas zasmuca. Jak to jest, że zamiast cieszyć się i dzielić z innymi radościami i smutkami, zamykacie się w sobie? Człowiek jest stworzony do tego, by żyć wspólnie z innymi. Dlatego też jest mu bardzo źle, gdy znajdzie się sam.

Jolu, zmień się! Nic nie przychodzi samo. Chcesz zjednać sobie innych? Zwróć jakoś na siebie uwagę! Bądź użyteczną, potrzebną - może ktoś właśnie oczekuje pomocy od Ciebie. Zacznij się też czymś interesować. Pasje bardzo łączą ludzi, doprowadzają do pięknych i trwałych przyjaźni. Najgorsza jest całkowita bierność. A Ty chyba Jesteś bierna - siedzisz i czekasz, nie wiadomo na co. Przełam ten stan. Zacznij kontaktować się z ludźmi. Próbuj cały czas - aż do skutku. Jest to jedyna metoda na zniszczenie skorupy, w której niepotrzebnie więzisz samą siebie.

(bj)

Na mapie świata

● NIE MOŻEMY BYĆ OBOJĘTNI
● OBAWY I NADZIEJE
● W KILKU ZDANIACH

Gdy my w Polsce obchodzimy 40 rocznicę Konferencji Jałtańskiej, wyzwalania kolejnych miast naszego kraju, powrotu do macierzy ziem piastowskich, gdy przygotowujemy się do obchodów zwycięstwa nad faszystowską III Rzeszą, w tym samym czasie w Republice Federalnej Niemiec roztrząsa się, pod jakim hasłem ma się odbyć w Hanowerze rewizjonistyczny zjazd tzw. Ziomkostwa „Ślązaków", któremu od lat przewodzi niejaki Hupka. Kiedyś pan Hupka uważany był za nieszkodliwego wariata, ale od czasu gdy w 1982 roku władzę w RFN objęła chadecja, a kanclerzem został Helmut Kohl, ziomkostwa i ich szefowie podnieśli głowę. Hupka został nawet deputowanym do Bundestagu, zyskał więc godne miejsce do głoszenia swych rewizjonistycznych poglądów. Gdyby w tej działalności nie był wspomagany przez aktualnych polityków rządzącej partii CDU/CSU, nie warto byłoby marnować atramentu. Niestety, tak nie jest. Ale wróćmy do owego hasła zjazdu „Ślązaków", w którym zapowiedział swój udział sam kanclerz, podkreślając tym samym rangę owego wydarzenia. Nawiasem mówiąc, od czasu słynnego kanclerza Konrada Adenauera, który przystrajał się na zlotach i zjazdach rewizjonistycznych ziomkostw w krzyżacki biały płaszcz z czarnym krzyżem, Kohl będzie drugim szefem państwa błogosławiącym odwetowe żądania „Ślązaków". Hasłem zjazdu, po wielu burzliwych dyskusjach będzie: „Śląsk jest naszą przyszłością w Europie wolnych narodów". We wcześniejszym sformułowaniu użyto zwrotu „Śląsk jest naszą ojczyzną". A więc żadnych nauk z historii, nadal niektórym marzy się powrót na wschód, za Odrę i do dawnych Prus. Dla ziomkostw powojenny ład w Europie jest nieprawny. Dla nich nie było Jałty, Poczdamu, nie było porozumienia PRL-NRF z grudnia 1970, nie było Aktu Końcowego z Helsinek z 1975 roku,.mówiących o trwałości i ostateczności naszych granic państwowych. Dla nich Rzesza nadal istnieje w granicach z 1937 roku. Niektórzy mówią nam, Polakom, że jesteśmy przewrażliwieni, że wyolbrzymiamy problem roszczeń terytorialnych niewielkiej grupki niepoprawnych marzycieli, że w gruncie rzeczy większość obywateli RFN akceptuje powojenną rzeczywistość i pragnie z nami porozumienia. Tak, to prawda, ale nasza wrażliwość jest w pełni uzasadniona. Zbyt żywa jest jeszcze pamięć ostatniej wojny, w której żaden naród nie ucierpiał tak bardzo jak my. Pamiętamy również dawniejszą historię i również „niewinne" hasło „Drang nach Osten" - parcia na wschód. Nasz powrót nad Odrę, na ziemie naszych pradziadów jest dziejowym zadośćuczynieniom doznanych krzywd. I nie powinniśmy być głusi, gdy ktoś to kwestionuje.

W styczniu pisaliśmy na tym miejscu o ważnych rozmowach, jakie odbyły-się w Genewie między ministrami spraw zagranicznych ZSRR i USA - A. Gromyką i G. Shultzem. Były one niejako wstępem do właściwych rokowań rozbrojeniowych, które rozpoczną się już wkrótce, bo 12 marca. Przypomnijmy istotę postanowień genewskich szefów dyplomacji obydwu supermocarstw.

A więc po pierwsze: ustalono, że przedmiotem rokowań będzie całokształt problemów dotyczących broni kosmicznych i jądrowych, strategicznych i średniego zasięgu. Po drugie: celem rokowań będzie zapobieżenie wyścigowi zbrojeń na ziemi oraz powstrzymanie ich w przestrzeni kosmicznej. W dalszej zaś perspektywie doprowadzenie do pełnej i powszechnej likwidacji broni jądrowej. Po trzecie: postanowiono, że wszystkie te problemy będą rozważane w trzech grupach roboczych (tematycznych). Grupa A zajmować się będzie zbrojeniami kosmicznymi, grupa B - jądrowymi zbrojeniami strategicznymi, grupa C-jądrowymi broniami średniego zasięgu. Przy czym rokowania w grupach traktowane będą we wzajemnym związku i współzależności.

Obie strony mianowały już swoich głównych negocjatorów. Szefem delegacji radzieckiej został Wiktor Karpow, delegacji amerykańskiej - Max Kampelman. Nie należy spodziewać się, że planowane rokowania będą łatwe i szybko przyniosą sukces, tak oczekiwany przez cały świat. Komentatorzy polityczni podkreślają, że negocjacje te będą najbardziej złożonymi ze wszystkich, jakie te dwa mocarstwa kiedykolwiek prowadziły. Przy okazji przypomina się, iż doprowadzenie do podpisania pierwszego porozumienia SALT I trwało trzy lata, SALT II aż siedem lat. Obecne mogą przeciągać się jeszcze dłużej, jako że dotyczą bardzo szerokiego wachlarza istotnych problemów. W końcu nieważna jest długość trwania rokowań, ale ich skuteczność. A ta zależeć będzie od dobrej woli i szczerości obydwu stron. Wprawdzie nie należy krakać za wczasu, niemniej nie można również przemilczać stanowiska obecnej administracji Waszyngtonu w sprawie aktualnych zbrojeń. Otóż ani na jotę Amerykanie nie rezygnują z własnych koncepcji rozwoju broni strategicznych, średniego zasięgu i w kosmosie. Uchwalane budżety wojskowe są coraz wyższe. Nie napawa to zbytnim optymizmem. Nie mniej już sam fakt, że dojdzie do rokowań. Jest ogromnym sukcesem. Będziemy je śledzić z uwagę.

W stolicy Szwecji trwają obrady V sesji Konferencji Sztokholmskiej, w której uczestniczą delegacje wszystkich państw sygnatariuszy KBWE. Początek tej rundy obrad rozpoczął się od ogłoszenia przez delegację radziecką propozycji układu o wzajemnym nfostosowaniu siły militarnej w stosunkach międzynarodowych. Obecny projekt jest rozwinięciem koncepcji z maja ub. roku i jest zgodny z ogólnym celem konferencji sztokholmskiej - budowania polityczno-wojskowych środków zaufania.

Rząd francuski wprowadził do połowy br. w Nowej Kaledonii na Pacyfiku stan wyjątkowy. Te nadzwyczajne środki mają pomóc władzom w stłumieniu buntu rdzennej ludności - Kanaków, domagających się niepodległości. Obszernie o powstaniu Kanaków pisaliśmy w styczniu br.

W 80 rocznicę urodzin Władysława Gomułki Biuro Polityczne KC PZPR podjęło 5 lutego br. uchwałę w sprawie wydania kilkutomowej edycji pism tego wybitnego działacza polskiego ruchu robotniczego. Biuro Polityczne wyraża przekonanie, iż publikacja pism Wł. Gomułki służyć będzie pogłębieniu wśród partii i społeczeństwa polskiego rzetelnej wiedzy o najnowszych dziejach Polski Ludowej.

ST. BOROWIECKI

ZAPUKAJ DO POKOIKU PEDAGOGA



Jestem pedagogiem szkolnym. Od ośmiu lat. Przedtem, zaraz po ukończeniu studiów, uczyłam cztery lata w szkole podstawowej i działałam w harcerstwie. Potem przeszłam z podstawówki do tutejszego liceum na tzw. etat harcerski: 6 godzin biologii i całe harcerstwo na głowie. Kiedy sama jeszcze chodziłam do szkoły, byłam uczennicą dobrą, ale nigdy bardzo dobrą, nie bardzo więc wiedziałam co mam zrobić ze swoją przyszłością, jaki zawód wybrać. Natomiast w harcerstwie wyżywałam się od najmłodszych lat, pełniłam różne funkcje, robiłam wszystko, co się tylko dało w tej organizacji, awansowałam, zdobywałam coraz wyższe stopnie harcerskie. I przekonałam się, że największą ze wszystkiego frajdę sprawia mi praca z dziećmi. Tyle że nie w roli nauczyciela. Bo jestem za chaotyczna.

- Ale chyba potrzebna jest w tym zawodzie konsekwencja? Zbrodnią byłoby przecież zacząć zajmować się jakimś człowiekiem i nagle w którymś momencie „odpuścić"? Czyli trzeba być człowiekiem „chaotycznie zorganizowanym"?

- O tak, na pewno. I umieć patrzeć! Dlatego też ja rzadko siedzę w tym moim pokoiku. Kiedy jest przerwa, przechodzę korytarzem, zagaduję moich ppdopiecznych o różne sprawy. Byłaś na „sprawozdaniu", zgłosiłaś się? To do początkującej narkomanki, która co piątek miała zgłaszać się w młodzieżowej poradni milicyjnej. -Wyłapałam ją przypadkowo, podczas zwykłych rozmów w klasie o stypendiach i zapomogach, o tym, kto ma prawo starać się o nie. Wchodzę do drugiej klasy i widzę nową uczennicę. Wiem z informacji w jej teczce, że nie ma ojca; mieszka z matką, babcią i dwiema siostrami. A podania nie złożyła. Kiedy zapytałam, „dlaczego?", rozpłakała się i uciekła. No, to znaczy, że coś tam u niej jest nie w porządku. Zapraszam ją więc na rozmowy. Takie-siakie. I widzę, że jest jakaś dziwna: szare, nieruchome, szeroko otwarte oczy, bladość, drżenie. I tak się zaczęło. Jest .w środowisku narkotycznym, ale na szczęście to dopiero początek jej „kariery", więc jest nadzieja...

Pedagog musi być kimś bez biurka. Bez „dywanika"!

Kimś dorosłym, lecz ciągle młodym i przez to może bliższym. Dyskretnym! Musi próbować wyczuć, czy w danym momencie trzeba poprzeć ucznia, nawet jeśli nie ma racji, czy też trzeba „huzia na Józia".

Przychodzi tu do mnie jeden, drugi i gada na jednego lub drugiego nauczyciela. Ja na to: Czy możesz nagrywać to, co mówisz? Nie bój się, potem zmażesz to wszystko osobiście. Nagrywa. Słuchamy potem tego razem. - Czy to wszystko, co mówiłeś, jest prawdą? Czy nigdzie nie widzisz swojej winy? Przeanalizuj sobie wszystko po kolei. Kawałeczkami. I nagle słyszę: - Wie pani, to zaczęło się od mojego głośnego stwierdzenia, że mam już wszystkiego dość i nie będę się uczył. - No widzisz, cała historia, którą nagrywałeś 20 minut sprowadza się do jednego momentu. Kiedy dostałeś dwóję. Ta dwója w twoim pojęciu już cię przekreśliła, więc postanowiłeś, że koniec z tym przedmiotem, że nauczyciel jest do niczego itp., itd.

Czasami tylko tyle, a pomaga.

Jestem zazwyczaj też jedną z pierwszych, która dowiaduje się o złamanych sercach, nawet przypadkach ciąży czy próbach samobójstw. Była np. kiedyś Kasia, bardzo ładna dziewczyna, którą upatrzyli sobie chłopcy z paczki gitowców i musiała się im podporządkować, bo strzelali kamieniami w jej okno, gwizdali za nią na ulicy. Chcąc ją odsunąć od tych naprawdę już zepsutych chłopców, zmieniłam jej szkołę na liceum plastyczne. Skończyła je z sukcesem. A więc był to i mój sukces, bo naszego liceum zapewne by nie ukończyła.

Naturalnie bywają przypadki, kiedy i ja nie daję sobie rady. Ot, choćby teraz z Jackiem. Do tej pory był spokojny, poprawny, chodził do kina, miał dziewczynę, grał w piłkę i raptem zrobił się jakby nie ten sam, z dnia na dzień coraz gorszy i w domu, i w szkole, ciągle jakieś wariackie odzywki, „odszczekiwania". Matka mówi: - Zwariuję, jest w II klasie i co z niego wyrośnie?! Mnie też się nie udało: - Co pani chce ode mnie? Nie widzę potrzeby rozmowy z panią. Ale to przecież jeszcze nie powód, żeby mi ręce opadły, żebym go zostawiła. 'Właśnie z myślą o takich sprawach zorganizowałam tu w szkole poradnię psychologiczną. Chodziło mi o to, aby znalazły się w niej osoby nie związane ze szkołą - których siłą rzeczy niektórzy uczniowie mniej się będą krępować niż nauczyciela ze swojej szkoły - a więc pani doktor psychiatra i psycholog z poradni wychowawczo-zawodowej. Porozwieszałam na korytarzach ulotki informujące o dyżurach w tej poradni, panie przychodzą na spotkania z rodzicami i mówią o tym, na jakie zachowania dziecka powinni zwrócić uwagę, informują o przypadkach z psychiatrii młodzieżowej, o tym, w czym mogą pomóc.

Jako pedagoga, nie mniej niż uczniowie interesują mnie też i rodzice. Niejeden problem młodych bierze się wszak stąd, że w domach bardzo rzadko poruszane, są sprawy współżycia ludzi, m. in. kontaktów fizycznych - to jest temat tabu. Więc w zeszłym roku sprowadziłam do szkoły seksuologa, który wygłosił cykl wykładów i dla uczniów, i dla rodziców.

- Czy pedagog w szkole podstawowej ma te same problemy co pani?

- Podczas kiedy ja stykam się tu z problemami ludzi wkraczających w dorosłe życie - pedagog w szkoie podstawowej ma przede wszystkim sprawy środowiskowe. Te wąchania, alkohol, papierosy, kradzieże, włamania. Więc musi przede wszystkim współpracować ściśle z rodzicami. Natomiast rzadziej występują konflikty nauczyciel-uczeń. Na etapie szkoły średniej sprawy domu zaczynają być odsuwane na dalszy plan - pępowina zaczyna się odrywać, młodego człowieka bardziej interesuje samodzielne rozwiązywanie problemów z nauczycielem czy rówieśnikami.

- Jak zostaje się pedagogiem szkolnym?

- Mówiłam już o mojej drodze do tego zawodu. Dodam tylko, że nie ma co wybierać się na studia pedagogiczne bez wcześniejszego przygotowania. Rozumiem przez to wcześniejszą pracę z dziećmi, czy to w harcerstwie, czy to w domu kultury, czy w jakiejś grupie, niekoniecznie formalnej. I zyskanie świadomości, że. się te dzieci rozumie, że chce się im pomagać. Jeśli ktoś przychodzi do mnie ze słowami: pani jest pedagogiem, a ja chcę iść na pedagogikę, więc jak to jest? co się potem robi? pytam go natychmiast: co ty robisz? kim jesteś? czym się teraz zajmujesz?. Bo jeśli wybierzesz się na pedagogikę tylko dlatego, że zdaje się tam historię, polski i rosyjski, a nie matematykę i fizykę, których się boisz, to lepiej zrezygnuj. Bo potem niełatwo ci będzie i studiować, i znaleźć pracę.

Natomiast wszystkich instruktorów, którzy z pasją prowadzą drużyny zuchowe i harcerskie wręcz namawiam na studia pedagogiczne. Zdarzają się na pewno i przypadki nieinstruktorów, którym należałoby poradzić tak samo, ale... ja się z nimi nie spotkałam.

Rozmawiała:

EWA KOSIŃSKA

Z czterech stron świata

Żywe kroniki

(„Kontynenty"). Grioci to kasta pieśniarzy i poetów szczególnie liczna w Afryce Zachodniej. W czasach przedkolonialnych żyli oni na dworach władców i przywódców religijnych. Wypełniając swe „obowiązki służbowe", sławili w pieśniach panujących. Ale grioci to nie tylko artyści. Wielu z nich było także doradcami i wychowawcami, znawcami praw oraz rodowodów miejscowej arystokracji.

Grioci odgrywają ważną rolę społeczną jako przekaziciele historii. Akompaniując sobie na instrumencie przypominającym lutnię lub harfę, układali pieśni o bohaterskich wyczynach, sławnych uczynkach i mądrości władców i ich przodków. Mając doskonałą pamięć, przekazywali pewne informacje z pokolenia na pokolenie, byli więc dla narodów nie znających pisma żywymi kronikami historycznymi.

W dawnych czasach grioci chodzili od wioski do wioski, występowali w rytualnych uroczystościach i ceremoniach. Czasem z całą rodziną udawali się do sąsiedniego władcy, opiewali chwałę gospodarza, który dawał im schronienie i żywił. Zapłatą był ryż, orzeszki ziemne, ptactwo, a czasem - owoce, kozy, a nawet bydło, zależnie od hojności i bogactwa władcy.

Grioci towarzyszyli swym panom w bitwach, śpiewając bojowe pieśni dla podtrzymywania ducha. Niezależnie od tego, jak kończyła się walka, wśród poległych na ogół nie było griotów: zabicie pieśniarza uchodziło za grzech.

Ze względu na system kastowy grioci żenili się tylko we własnym kręgu, istniały więc całe dynastie ludowych pieśniarzy.

Po przeczytaniu notatki w jednej z warszawskich gazet południowych, informującej o wtargnięciu kosmitów na ul. Wronią w Warszawie i porwaniu spokojnego obywatela - nie mogłem się długo uspokoić. I oto pewnej nocy widzą, że ONI przechodzą przez ścianę, a potem grzecznie zapraszają mnie do swego kosmicznego pojazdu, który zawisł nad kominem mego domu! Więc zacząłem pytać: – Dlaczego wybór padł akurat na mnie, skoro tylu jest badaczy tego wszystkiego, co jako UFO plącze się wokół Ziemi? – Nie zawracaj nam głowy jakimś UFO - odpowiedzieli. - Wszystko co ci pokażemy to jest najprawdziwsza prawda! I to lata w kosmosie naprawdę! Zresztą sam zobaczysz, tym bardziej że wszystko to zrobili twoi rodacy!

A więc chodźmy zobaczyć...

CO POLACY ROBIĄ W KOSMOSIE?

W roku ubiegłym minęło 7 lat od pamiętnego orbitalnego lotu pierwszego polskiego kosmonauty ppłk Mirosława Hermaszewskiego. W prasie, radiu i telewizji skończył się już okres sensacyjnych informacji o badaniach kosmosu i o wykorzystaniu technik kosmicznych na Ziemi, ale prace w tej dziedzinie ani na chwilę nie ustają i dosłownie każdy dzień, każda godzina, przynoszą nowe osiągnięcia. Nieraz głośniej o nich nawet za granicą niż u nas...

Koordynatorem prac kosmicznych w Polsce jest **Centrum Badań Kosmicznych Polskiej Akademii Nauk.** Centrum to rozpoczęło pracę 1 kwietnia 1977 r. i zajmuje się badaniami rejonów określanych mianem kosmosu, jak i górnych warstw atmosfery Ziemi. Prowadzone są więc badania z heliofizyki, geodezji satelitarnej i geodynamiki, teledetekcji, przetwarzania danych, mechaniki nieba...

CBK współpracuje z licznymi ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą, przede wszystkim z państw socjalistycznych, w ramach programu Interkosmos, a niektóre prace naukowe można nazwać polskimi specjalnościami w.tym programie. Na przykład badania przeprowadzone za pomocą analizatorów promieniowania elektromagnetycznego w zakresie częstotliwości - od ułamków Hz do GHz. W 1979 r. na satelicie **Interkosmos-19** wśród 11 zestawów aparatury naukowej znajdowały się dwa przyrządy wykonane w Polsce: radiospektrometr IRS-1 przeznaczony do pomiaru gęstości widmowej naturalnych i sztucznych rezonansów plazmy jonosferycznej oraz podzespół jednolitego systemu telemetrycznego.

Od razu wyjaśniam, co się kryje za tymi bardzo fachowymi nazwami. Chodzi o pomiar tak zwanych szumów elektromagnetycznych występujących w jonosferze, czyli w warstwie rozciągającej się ponad Ziemią od około 80 km do około 800 km. W rozprzestrzenianiu się fal radiowych wysyłanych z naszych ziemskich nadajników najważniejszą rolę pełni bowiem zarówno warstwa najbliższa Ziemi - zwana troposferą, jak i warstwa wyższa - jonosfera. Tam znajdują się swobodne elektrony, zjonizowane atomy i cząsteczki powstałe na skutek działania promieniowania Słońca na gaz rozrzedzony. Fizycy środowisko to nazywają plazmą. Warstwa położona około 50-90 km nad Ziemią pochłania fale długie, położona 150-170 km nad Ziemią odbija fale krótkie. Wyniki badań jonosfery mają zatem duże znaczenie dla łączności i dla rozwoju fizyki kosmicznej. Dodać trzeba, że dzięki badaniom jonosfery już umiemy prognozować najkorzystniejsze warunki rozprzestrzeniania się fal radiowych w określonych dniach i godzinach. Centrum Badań Kosmicznych wydaje więc biuletyn specjalny *z* takimi prognozami - jedyny zresztą w państwach socjalistycznych. Z biuletynu korzystają poszczególne dziedziny gospodarki narodowej, w tym żegluga dalekomorska i lotnictwo cywilne.

Ponadto satelita Interkosmos-19 był zaopatrzony w dwa przedwzmacniacze antenowe wykonane również w Polsce. Aparaturę przygotowały: **Centrum Badań Kosmicznych i Instytut Lotnictwa w Warszawie.**

Drugą polską specjalnością w programie Interkosmos są badania geodynamiczne. Warto wiedzieć, że nasi uczeni są pierwszymi, którzy w państwach socjalistycznych rozpoczęli pomiary tzw. metodą dopplerowską. Chodzi o wyznaczenie pozycji stacji naziemnej w stosunku do sztucznego satelity, co ma ogromne znaczenie praktyczne m. in. dla geodezji. W Borowcu dokonuje się więc obserwacji sztucznych satelitów geodezyjnych, umożliwiających m. in. prowadzenie dokładnych pomiarów potrzebnych zarówno nam, jak i światowym ośrodkom naukowym., W roku ubiegłym zbudowaliśmy dla tych celów nowoczesny, automatyczny laserowy dalmierz satelitarny o dużym zasięgu i dokładności.

Trzecią dziedziną, której poświęca się w Polsce szczególną uwagę jest teledetekcja. W tym zakresie badań rozwinięto niezwykle ożywioną działalność.

Teledetekcja to nic innego jak badanie określonej powierzchni czy obiektu, na odległość. Na przykład, jeśli chcemy dowiedzieć się z czego zbudowany jest odległy od nas ... parkan otaczający ogród, a nie mamy możliwości dojścia tam, dotknięcia badanego obiektu, to możemy posłużyć się lornetką. Wyniki jednak takiej obserwacji nie zostaną jednak udokumentowane. Lepiej zatem zrobić zdjęcie parkanu. Po wywołaniu filmu i wykonaniu odbitki możemy spokojnie ocenić, co widzimy na obrazku. Zobaczymy zatem, że parkan jest zbudowany z desek drewnianych, ma ich tyle a tyle, określona ich liczba jest dziurawa, a część z sękami. Zauważymy na pewno, że jedne deski są krótsze, inne dłuższe, pewnych brak. Możemy ocenić nawet jaka jest wysokość tego parkanu i jego długość. Jeszcze lepsze wyniki osiągniemy robiąc zdjęcie barwne. W podobny, fotograficzny sposób można badać różne planety naszego Układu Słonecznego, a im bardziej rozbudowana jest nasza aparatura, tym więcej informacji zdobędziemy, bo przecież można na odległość zmierzyć temperaturę danego obiektu, określić jego gęstość i zdobyć tysiące innych informacji. Teledetekcja stosowana jest także do badania naszej Ziemi. Wykrywamy więc również to, czego nie dojrzy najlepsze nawet oko lotnika a co zarejestruje np. wielospektralna kamera - umieszczona w balonie, w samolocie lub satelicie.

W CBK rozpoczęto od budowy spektrometrów. Zapewniono prowadzenie badań na trzech poziomach: naziemnym, lotniczym i satelitarnym. Dopiero bowiem porównanie pomiarów wykonanych na tych trzech poziomach może dać wyniki przydatne gospodarce.

Nasze prace prowadzone w OPOUS, czyli w **Ośrodku Przetwarzania Obrazów Lotniczych i Satelitarnych,** oraz w podobnym ośrodku przy Instytucie Geologicznym, rokują wielkie nadzieje. Mamy tam również zdjęcia wykonane przez naszego kosmonautę. Ze zdjęć tych, m. in. wykonanych z pokładu stacji kosmicznej Salut-6, sporządzono **w Instytucie Geodezji i Kartografii** pierwszą polską satelitarną mapę użytkowania ziemi (podziałka 1 : 50 000), uzupełniając te informacje zdjęciami z satelity Landsat.

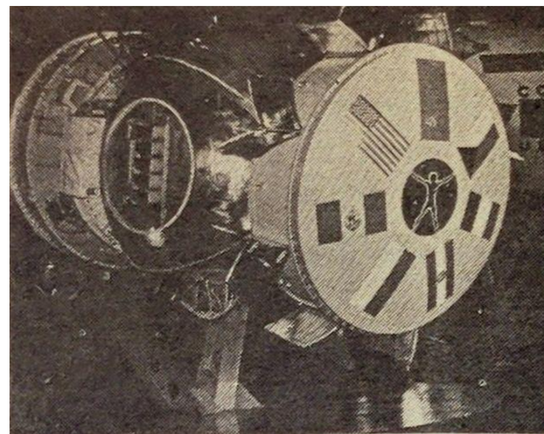
Teledetekcja nie jest wiedzą hermetyczną. Już odczuliśmy jej dobrodziejstwa. Parę lat temu wykryto na podstawie analizy zdjęć satelitarnych pokaźny obszar lasów zaatakowanych przez pewien złośliwy gatunek grzyba. Wynik badań satelitarnych zaskoczył nawet leśników! Absolutnie nikt nie zdawał sobie sprawy, iż gdzieś w Białostockiem są lasy dotknięte tą chorobą...

Oprócz programu Interkosmos prowadzone są prace w zakresie łączności satelitarnej. Odnotować trzeba istnienie od 1973 r. **Naziemnej Stacji Satelitarnej]** w Psarach pod Kielcami, przez którą utrzymywana jest m.in. łączność telefoniczna (od 1978 r.) i telegraficzna (od 1979 r.) z Kubą. Jako stacja systemu Intersputnik, umożliwia ona odbiór i przekazywanie audycji telewizyjnych na wielkie odległości nieosiągalne innymi metodami. Już pracuje stacja międzynarodowego systemu **INTELSAT.** Przewiduje się uruchomienie stacji systemu **INMARSAT** dla potrzeb radiokomunikacji morskiej współpracującej z satelitami geostacjonarnymi umieszczonymi nad Oceanem Atlantyckim i Oceanem Indyjskim.

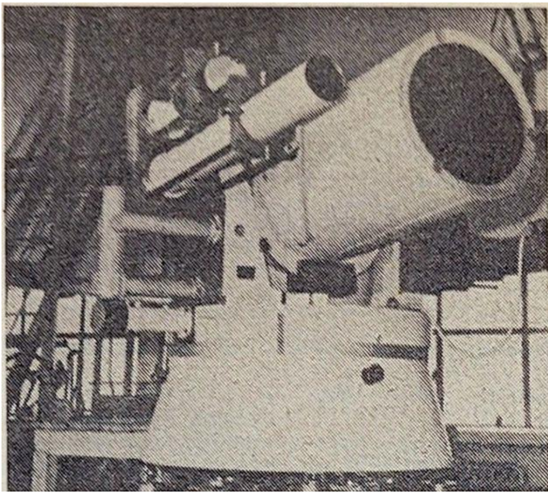
15 grudnia ubiegłego roku na radzieckim satelicie-próbniku planety Wenus i komety Halleya - wyniesiona została również polska aparatura, specjalny analizator fal elektromagnetycznych w przestrzeni kosmicznej. Nasi specjaliści z CBK i Instytutu Lotnictwa w Warszawie zbudowali tę elektroniczną aparaturę, współpracując ze swymi kolegami z ZSRR, CSRS, i Francji.

Tyle z grubsza o polskiej aparaturze kosmicznej na początku roku 1985. O dalszych osiągnięciach w tym zakresie będę informował na bieżąco.

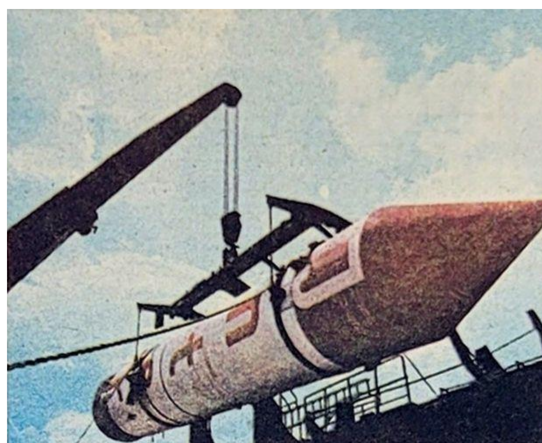
PAWEŁ ELSZTEIN



Satelita radziecki do doświadczeń biologicznych. W programie naukowym (przed kilkoma laty) uczestniczyli specjaliści z 7 państw, w tym z Polski. Flagi narodowe tych państw umieszczono na osłonie satelity



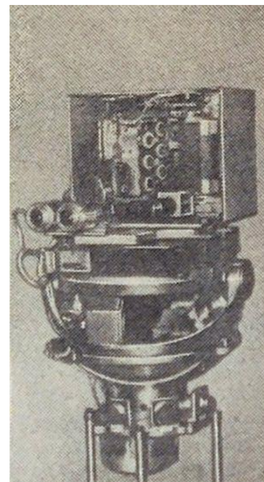
Pierwszy polski dalmierz laserowy dla potrzeb geodezji satelitarnej Repr. **P.E.**



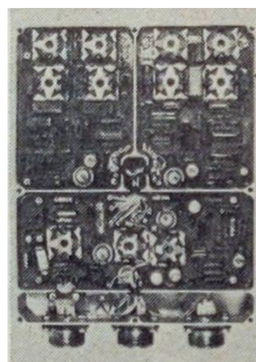
Część radzieckiej rakiety Interkosmos, za pomocą której wynoszone są aparaty budowane w państwach uczestniczących w programie naukowym, w tym w Polsce



Blok generatorów kanałowych. Aparatura wykonana w Instytucie Lotnictwa w Warszawie. Umieszczona na satelicie Interkosmos-19 w 1979 r. Fot. **Instytut Lotnictwa**



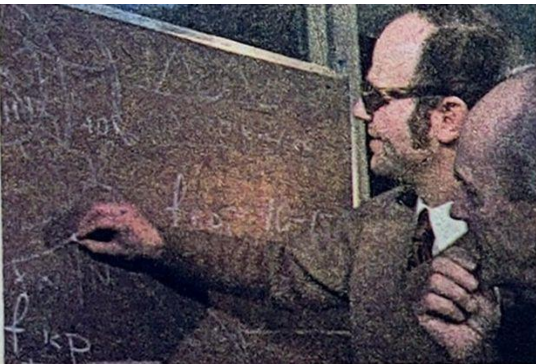
Aparatura do rentgenowskiego badania Słońca wykonana przez radzieckich i polskich specjalistów. Wykorzystana została podczas lotu rakiet Wertikal-1 Wertikal-2



Tak wygląda w środku polski blok generatorów kanałowych stanowiących część aparatury Jednolitego Systemu Telemetrycznego, umieszczony na satelitach Interkosmos Fot. **Instytut Lotnictwa**



Załoga Sojuza 30 - Klimuk i Hermaszewski



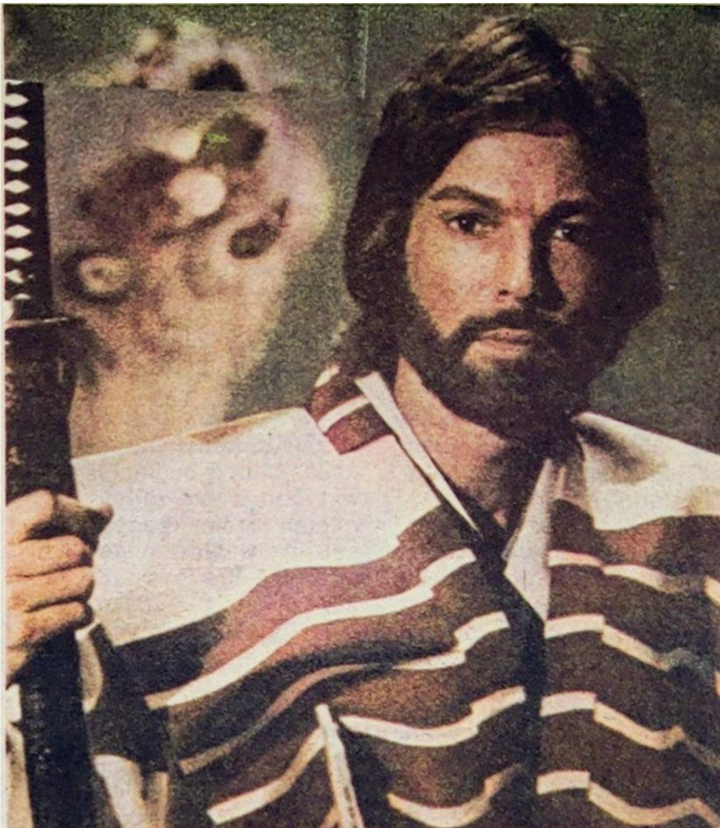
Dr Jan Hanasz, kierownik naukowy polskiej części eksperymentu Interkosmos - Kopernik 500

Filmowa moda na Daleki Wschód – trwa!



SHOGUN





Magia dobrego filmu na telewizyjnym ekranie sprawia, że w niedzielę, po godz. 20 ulice pustoszeją, a zza każdej prawie firanki prześwituje błękitny odblask włączonego odbiornika. Cofamy się w czasie o przeszło 300 lat i prawie przez godzinę przebywamy w niezwykłym świecie starej kultury, obcych praw i obyczajów - w Japonii.

Od czasów Marco Polo świat zdążył właściwie zapomnieć o krajach Wschodu. Jedynie portugalscy i hiszpańscy żeglarze strzegli zazdrośnie map mórz południowych, dzięki czemu ciągnęli ogromne zyski z handlu w tamtych rejonach.

Jonathan Blackthorne, jako pierwszy angielski żeglarz, w poszukiwaniu nowych szlaków morskich przeprowadza niewielką flotyllę przez Cieśninę Magellana i wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Potężny sztorm udaremnia jednak rejs. Garstka rozbitków z pilotowanego przezeń holenderskiego statku trafia na nieznane brzegi. Okazują się one Japonią.

Pierwowzorem bohatera powieści Jamesa Clavella i oglądanego właśnie przez nas z zapartym tchem serialu telewizyjnego wg niej nakręconego - „Shogun", był William Adams - postać autentyczna. Urodził się w połowie XVI w. i był brytyjskim żeglarzem. W1598 r. pełnił rolę nawigatora na okręcie „Dutch" płynącym do Indii. Okręt ten uszkodzony w czasie sztormu dobił do japońskiej wyspy Kiusiu.

Pierwszymi Europejczykami, którzy – także przypadkiem - trafili do Japonii, byli trzej Portugalczycy (1542 r.). Po nich pojawili się tam krzewiący chrześcijaństwo jezuiccy misjonarze i oczywiście kupcy. Ponieważ szybko zaczęli się wtrącać do wewnętrznej polityki Japonii i podżegali do niesnasek - nie byli mile widzianymi gośćmi. Stąd zjawienie się na tych ziemiach w 1600 r. Adamsa mogło się dlań skończyć tragicznie. Niebezpieczeństwo groziło mu nie tylko ze strony izolujących się świadomie od reszty świata Japończyków, ale także obecność jego „nie w smak" była uzurpującym sobie prawo wyłączności w „odkrywanym świecie" Portugalczykom i Hiszpanom. Do tego kwestie wiary stawiały Anglika-protestanta w pozycji wrogiej katolickim mnichom.

Shogun jednak - czyli najwyższy dowódca armii, a właściwie dyktator - pozostawił nawigatora przy życiu. Docenił jego wiedzę i umiejętności. Adams wkrótce nauczył się języka, przybrał japońskie imię Miura Andżin, założył rodzinę i osiedlił się w Japonii na zawsze. W przybranej ojczyźnie kierował budową największych statków morskich i nauczał Japończyków matematyki. Zmarł w 1620 r. jako dostojnik, samuraj.

James Clavell twierdzi, że kiedy przeniósł się ze Stanów Zjednoczonych do Anglii, w 1971 r. natrafił w archiwach Muzeum Brytyjskiego na dziennik tego żeglarza. Relacja zafascynowała go i zaczerpnięty z niej materiał wykorzystał w swej powieści „Shogun". Została ona wydana już w 1975 r. Powieść ta jednak nie jest bynajmniej współczesną wersją kroniki XVII-wiecznego angielsko-japońskiego żeglarza. Clavell zawarł w niej wiele własnych przeżyć, obserwacji i wiedzy o Dalekim Wschodzie. Jego znajomość tej tematyki ma źródło odległe i... wstrząsające.

W czasie II wojny światowej osiemnastoletni zaledwie Clavell znalazł się na azjatyckim froncie jako ochotnik. Wkrótce ranił go poważnie odłamek japońskiego pocisku. Półprzytomny, chory młody żołnierz przedzierał się samotnie przez piekło jawajskiej dżungli. W końcu został schwytany i trafił do japońskiego obozu jeńców wojennych, który okazał się piekłem jeszcze straszliwszym niż dżungla. Składało się na to wiele: głód, praca ponad siły w zabójczym klimacie, depresje wywołane niemożnością nawiązania jakiegokolwiek „ludzkiego" kontaktu z Japończykami, których mentalność dla Europejczyków była zupełnie niezrozumiała. Jeńcy, współtowarzysze niewoli Clavella umierali codziennie. Clavell sam dziś nie rozumie, jakim cudem przeżył. Szkoła, w której zgłębiał „duszę" Wschodu była okrutna...

Po wojnie Clavell trafił do Hollywood i utrzymywał się z pisania scenariuszy. Odczuwał jednak potrzebę „wyrzucenia" z siebie nagrodzonych przeżyć i przemyśleń w większej formie literackiej. Uczynił to pisząc „Króla szczurów" - wstrząsającą opowieść o życiu jeńców w japońskim obozie, gdzie rarytasem było szczurze mięso. Powieść tę bardzo szybko zekranizowano.

Clavell coraz głębiej „wchodził" w tematykę japońską. Pogłębiał wciąż swoją wiedzę, czerpiąc z materiałów źródłowych. Wkrótce napisał powieść „Tau - Pan". Opowiada w niej o brytyjskiej kolonii w Hongkongu w czasach I wojny opiumowej, czyli w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. A potem był już właśnie „Shogun". Prawo do ekranizacji tej książki (będącej ogromnym sukcesem wydawniczym) zakupiła natychmiast amerykańska sieć telewizyjna NBC. Serial kręcono w autentycznej scenerii, w Japonii. Zaangażowano gwiazdy amerykańskiego i japońskiego kina, mistrzów wschodniej sztuki walki... Kosztowało to krocie, ale zwróciło się z potężną nawiązką. Dwunastogodzinny serial zakupiły przecież telewizje prawie wszystkich krajów europejskich. W Ameryce obejrzał go ponoć co trzeci statystyczny obywatel.

Walki, intrygi, egzotyka, miłość, przygoda - każdy odcinek „Shoguna" przynosi widzom nowe emocje. Będziemy je przeżywać wraz z bohaterami, filmu jeszcze tylko przez 3 niedziele.

EWA BIELSKA Fot. **archiwum**

Serial „Shogun" wg powieści Jamesa Clavella wyreżyserował Jerry London. W roli Jonathana Blackthome'a oglądamy Richarda Chamberlaina, jego uroczą i mądrą partnerką jest Yoko Shimada, a Shoguna gra słynny aktor Toshiro Mifune



Czwórbojowi mocarze

NIESPODZIEWANY SUKCES

Puchar naszej redakcji dla najlepszych czwórboistek zdobyta w ubiegłym roku Szkoła Podstawowa Nr 55 z Warszawy. Reprezentantki stolicy zdecydowanie pokonały wszystkie rywalki, zwyciężając w trzech konkurencjach. Wielkim talentem błysnęła liderka zespołu. Monika Grott — triumfatorka klasyfikacji indywidualnej. Takiego sukcesu nikt się nie spodziewał.

Już od kilku sezonów nie wiodło się warszawskim szkołom w czwórbojowych zmaganiach. I tym razem dawano więcej szans dziewczętom SP nr 2 z Warki, SP 5 ze Zgorzelca i SP 14 z Gdyni. W sporcie faworyci często zawodzą, a nie doceniani zdobywają laury. Tak było i w Stalowej Woli. Pierwsza konkurencja, bieg na 60 metrów, wykazała świetne przygotowanie warszawianek. Zwyciężyła **Iwona Grochowska**, a pozostałe koleżanki niewiele jej ustępowały. Na skoczni w dal prawdziwy festiwal długich skoków zaprezentowała **Monika Grott**. Końcowy rezultat – 5 m 30 cm. Słabiej radziły sobie dziewczęta w rzutach piłeczką, za to w ostatniej konkurencji znokautowały wszystkie rywalki. Triumfowały w czterech seriach biegu na 500 m, a najlepszy czas uzyskała Monika (1.18,8 min.). Radość drużyny była ogromna. Trenerka, pani **Elżbieta Kępa** kilkakrotnie podrzucana w górę przez wychowanki nie kryła łez radości. Ona jedna liczyła na swoje zawodniczki i nie pomyliła się.

Czwórbojowy zespół tworzy sześć dziewcząt: **Agnieszka Korpysz, Iwona Grochowska, Klara Kejna, Agnieszka Stachowiak, Magdalena Siak** i **Monika Grott** Każda jest inna, ale razem tworzą zgraną paczkę. Monika, niecierpliwa, wesoła, jest duszą całej grupy. Liderka na boisku i poza nim. Znakomita w przełajach i w skoku w dal. Kolekcjonuje znaczki pocztowe i pasjonuje się językami obcymi. Pragnie kontynuować naukę w szkole z wykładowym niemieckim lub rosyjskim. Iwona przejawia głównie sportowe zainteresowania. Chce być trenerką lekkiej atletyki. Szybkość i dynamika to jej zalety. Legitymuje się wartościowym rekordem życiowym na 60 metrów (8,2 sek.), Uwielbia muzykę rockową, a szczególnie śpiewającego fryzjera Limahla. Magda jest nieśmiała. Nauczyciele chwalą ją za pracowitość. Interesuje się fizyką i chemią, a na boisku specjalizuje się w sprincie. Agnieszka Stachowiak to największa w grupie gaduła. Bardzo lubiana przez koleżanki, wprawia wszystkich w doskonały humor. Dobrze czuje się na dłuższych dystansach, nie przepada za rzutami. Klara najchętniej w wolnych chwilach słucha muzyki. Ultravox i Depeche Mode to jej faworyci. Chce w przyszłości pójść w ślady mamy i studiować prawo. Agnieszka Korpysz to wzorowa uczennica. Zamierza zostać lekarzem-stomatologiem. Sport jest dla niej tylko dobrą zabawą i odpoczynkiem po nauce.

Wszystkie dziewczęta należą do patronującego szkole klubu - „Orzeł". Nie mają dzięki temu kłopotów ze sprzętem. Kolców i dresów jest w magazynie pod dostatkiem. Trenują pięć razy w tygodniu po 2 godziny. Poza lekką atletyką uprawiają gry zespołowe. Niedawno zdobyły drugie miejsce w dzielnicy w piłce ręcznej i koszykówce. Miały udany start w przełajach. Monika jest już dwukrotną mistrzynią Pragi-Płd. w tej konkurencji. Do wiosennych zawodów, których stawkę będzie wyjazd na finał międzynarodowy, przygotowują się jak do każdego normalnego sezonu. Może trochę większy nacisk kładą na doskonalenie rzutu palantówką. Obawiają się skoku wzwyż, chociaż wzrostem przewyższają większość rywalek. Do tej pory miały na skoczni zaledwie kilka treningów. Poprawnej techniki w tej konkurencji nie można nauczyć się z dnia na dzień, ale ambitne dziewczyny są dobrej myśli. Zostało jeszcze kilka miesięcy, w ciągu których można wyeliminować braki. Na pytanie, czy powtórzą ubiegłoroczne osiągnięcie, zgodnie odpowiadają, że nie wyobrażają sobie, aby mogły komukolwiek oddać wywalczony prymat. Konkurentki także chcą się zrewanżować za niepowodzenia, a więc rywalizacja zapowiada się niezwykle pasjonująco.

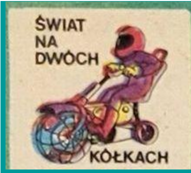
ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **M. Zieleniewska**



◀ *Czwórbojowy zespół tworzy sześć dziewcząt: Agnieszka Korpysz, Iwona Grochowska, Klara Kejna, Agnieszka Stachowiak, Magdalena Siak i Monika Grott*

Warszawianki są znakomitymi sprinterkami
▼





OBUDOWANE JEDNOŚLADY

Po dużej popularności jaką zdobyły motocykle, coraz większym zainteresowaniem zaczynają się cieszyć skutery, których okres minionej świetności przypadał na. lata sześćdziesiąte.

Zarówno w nowatorskim rozwoju motocykli, jak i w nowoczesnej konstrukcji skuterów widoczna się staje coraz bardziej dominacja firm japońskich.

Przedstawiam dwa skutery, dwóch znanych japońskich firm - Yamahy i Hondy.

Produkt pierwszej wytwórni o nazwie YAMAHA SALIENT, to taki skuterowy motorower, gdyż pojemność jego silnika wynosi zaledwie 49 cm sześc. Silnik ten jest dwusuwowy, o jednym cylindrze, chłodzony powietrzem, a stopień jego sprężania jest stosunkowo niski, gdyż wynosi zaledwie 6:1. Posiada on bezstykowy, elektroniczny zapłon.

Uruchamianie silnika odbywa się za pośrednictwem elektrycznego rozrusznika.

YAMAHA SALIENT posiada ładnie ukształtowane nadwozie, o sportowym charakterze. Ciężar tego skutera wynosi 66 kg. Osiąga prędkość maksymalną 70 km/godz.

Skuter firmy Honda określony marką HONDA CH 126 SPACY wyróżnia się już większym zakresem zabudowy i nowoczesnym jej rozwiązaniem. Przednia osłona tego skutera upodobniona trochę do przodu samochodu wyposażona została w plastykowy zderzak, ozdobę wlotu powietrza, oraz osłonę kierownicy zaopatrzoną w małą owiewkę w postaci szybki. Tak jak i w nowoczesnych samochodach, lampa przedniego światła ukryta została we wnęce osłoniętej klapą.



Yamaha Salient



Honda CH 125 Spacy

HONDA CH 126 SPACY posiada czterosuwowy, jednocylindrowy silnik o pojemności roboczej 124 cm sześc., którego stopień sprężania wynosi 10,3:1. Zapłon silnika jest bezstykowy - elektroniczny.

Uruchamianie silnika odbywa się rozrusznikiem elektrycznym.

Skuter ten waży 97 kg. Rozwija prędkość 120 km/godz.

ZENON DUTKIEWICZ

Zielono mi (71)

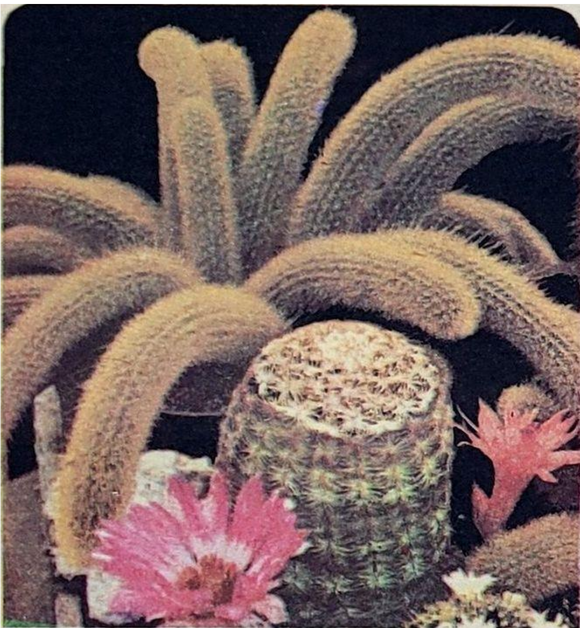
PRZYPOMNIENIE O KAKTUSACH

Każdy miłośnik kaktusów powinien wiedzieć, że nie wszystko co się potocznie kaktusem nazywa jest rzeczywiście kaktusem. Do rodziny kaktusów (*Catacea*e) należą: **cerusy, opuncje, mamilarie, echinokaktusy, epifylum** i inne mniej znane gatunki.

Wiele roślin pochodzących z klimatu gorącego i suchego ma budowę podobną do kaktusów. Podobnymi są: **agawy** z rodziny amarylkowatych, **aloesy i gasterie** z rodziny liliowatych, **rozchodniki** z rodziny gruboszowatych, niektóre **wilczomlecze** z rodziny wilczomleczowatych. Wszystkie te rośliny mają wspólną cechę - grube mięsiste liście pokryte zazwyczaj grubą, twardą skórką, często kolcami lub włoskami, które chronią roślinę przed utratą wody i przegrzaniem. Grube i mięsiste liście służą do magazynowania wody. Całą tę grupę roślin zaliczamy do gruboszowatych czyli sukulentów.

Większość kaktusów pochodzi z Ameryki, gdzie spotyka się je na olbrzymich obszarach od Kanady aż po Argentynę. W Arizonie i w Meksyku niektóre gatunki kaktusów dorastają do wysokości kilkunastu metrów i są tak nieodłącznym elementem krajobrazu jak nasze przydrożne wierzby. W naturze i w mieszkaniu kaktusy pięknie kwitną, a niektóre z nich rodzą również jadalne owoce.

Kaktusy rozmnażamy przez sadzonkowanie odrostów, siew nasion i szczepienie. W uprawie amatorskiej do rozmnażania służą najczęściej tak zwane odnóżki, które nieraz w dużej obfitości powstają na roślinie matecznej. Odnóżki można odciąć lub oderwać od rośliny matecznej i sadzonkować w czystym piasku, gdzie ukorzeniają się znakomicie. Najlepszym okresem do sadzonkowania jest wiosna i lato, gdyż ciepło sprzyja ukorzenianiu się sadzonek. Niektóre sukulenty jak **agawa, eszeweria, euforbia** wytwarzają odrosty przy samej ziemi, które można oderwać lub odciąć, często już ukorzenione. Inne sukulenty jak **rozchodniki** (*Sedum*), **grubosze** (*Crassula*), **kotyledony** (*Cotyledon*), **epifylum, ripsalis** i wiele innych można rozmnożyć z odciętych liści. Po ścięciu sadzonek trzeba je pozostawić na kilka dni w miejscu suchym, lecz nie na słońcu, by rana po cięciu obeschła, co sprzyja ukorzenieniu.



Sadzonki sadzimy do misek lub doniczek wypełnionych piaskiem. Sadzimy je bardzo płytko lub ustawiamy na powierzchni piasku i podpieramy patyczkami, by się nie przewróciły. Naczynia z sadzonkami ustawiamy w miejscu ciepłym, ale nie w słońcu. Podlewamy sadzonki raczej skąpo, aby nie gniły. Ukorzenianie sadzonek można przyspieszyć, nakrywając naczynie szybką lub kloszem. Kiedy sadzonki ukorzenią się i zaczną rosnąć, przesadzamy je do małych doniczek lub po kilka do misek wypełnionych lekką ziemią. Do żyznej ziemi ogrodowej trzeba dodać 1 część piasku na 3 części ziemi. Do uprawy lepsze są naczynia większe, w które można posadzić po kilka egzemplarzy, niż bardzo małe, w których ziemia bardzo szybko wysycha i trudno jest w nich utrzymać właściwą wilgotność.

Najlepszą porą do przesadzania kaktusów jest wiosna i pierwsza połowa lata. Nie należy przesadzać egzemplarzy z pąkami kwiatowymi, gdyż mogą zrzucić pąki. Nie ma żadnych reguł jak często kaktusy powinny być przesadzane. Najczęściej raz w roku lub raz na dwa lata, gdy roślina wypełnia całą doniczkę. Do przesadzania bierzemy doniczkę o średnicy o 1 cm większej od dotychczasowej. Chcąc wyjąć roślinę z doniczki kładziemy lewą dłoń na powierzchnię doniczki, bierzemy roślinę między palce i uderzamy doniczką lekko o kant stołu. Roślina wysuwa się z doniczki łatwo. Przy przesadzaniu gatunków kolczas-tych trzeba uzbroić rękę w skórzaną rękawicę. Po wyjęciu rośliny usuwamy ostrym nożem filcowate korzenie pokrywające bryłę ziemi, a także korzenie gnijącę, chore. Na dno doniczki kładziemy skorupki dla zabezpieczenia otworu przed zasypaniem. Następnie sypiemy nieco ziemi i ustawiamy roślinę na odpowiedniej wysokości. Stopniowo dosypujemy ziemi i ugniatamy ją mocno szczególnie przy brzegach na obwodzie doniczki lub miski.

Po posadzeniu ustawiamy doniczki w miejscu ciepłym i zacienionym, podlewając rośliny dopiero w 2-3 dni później.

Najważniejszym zabiegiem w uprawie kaktusów jest podlewanie. Kaktusy należy podlewać umiarkowanie, raczej rzadko, lecz obficie, aby woda przesiąkała przez całą bryłę ziemi i' ukazała się na podstawce. Wiosną i przez lato, w czasie, upalnej pogody trzeba kaktusy podlewać codziennie. Podlewanie ograniczamy jesienią i zimą, ale uważać należy na kaloryfery, które zimą mogą bardzo szybko wysuszyć ziemię w doniczkach na pieprz. Cały czas trzymamy się tej zasady, by ziemia w doniczkach była lekko wilgotna, ale nie mokra.

Kaktusy mają małe wymagania pokarmowe, toteż jeśli są przesadzane co rok lub co dwa lata, znajdują w ziemi wystarczającą ilość pokarmów. Dodatkowo można je zasilić kilka razy w roku przez podlewanie roztworem Florowitu w rozcieńczeniu 1:400.

Kaktusy dobrze się czują na parapetach słonecznych okien. Jeśli jednak mamy wystawę południową, to na miesiące letnie warto je przestawić na półkę obok okna lub do ogrodu w miejsce lekko zacienione. W ten sposób stworzymy im bardziej umiarkowane warunki i ułatwimy sobie pielęgnację.

AUGUSTYN MIKA

ZIELONA POCZTA

Magda Wrzos z Mielna pisze, że na zewnątrz glinianych doniczek, w których hoduje pomarańcze i cytrynę, pojawiła się biała pleśń. Według mnie, to wcale nie jest pleśń, lecz nalot z soli wapniowych. Sole wapnia przenikają wraz z wodą na zewnątrz doniczki. Woda paruje, a sole osadzają się w postaci białego nalotu. Cokolwiek by to było, należy doniczki przetrzeć wilgotną ściereczką.

Kilku czytelników donosi, że pomarańcze hodowane z pestek wytworzyły kolce. To normalne - taka jest ich uroda! Pewien czytelnik spod Siedlec, prosi o informacje jak wyhodować drzewko owocowe. Na ten temat napiszemy w numerze wiosennym.

Andrzej Kasiński, ul. Harcerska 2/2, 84-200 Wejherowo wymieni kukurydzę ozdobną, rodzynki brazylijskie, paprykę słodką, dynię ozdobną na kaktusy, rośliny cytrusowe, kawę, herbatę lub orzeszki ziemne. **Ewa Lewańczyk, ul. Lisie Błota 32, 84-209 Chwaszczno** poszukuje jakichkolwiek roślin egzotycznych. **Kasia Kielak, ul. Sworska 28, 21-500 Biała Podlaska** poszukuje rodzynka brazylijskiego, roślin cytrusowych, kawy i orzeszków ziemnych w zamian za dobre słowo. **Marcin Gruchała ul. Harcerska 1/3, 84-200 Wejherowo** odstąpi nasiona pomarańczy, grejpfrutów, kawonów i kukurydzy za nasiona papryki, kawy lub herbaty. **Iwona Migdał ul. Beskidzka 18, 43-370 Szczyrk** odstąpi nasiona palmy, papryki i arbuza za nasiona innych roślin egzotycznych.

(am)



● KTO POZOSTAŁ NA ZIMĘ? ● KOŚĆ DLA PSA CZY DLA... SIKORY? ● CO SIĘ DZIEJE W PTASICH STADACH ● JAK JASTRZĄB ŚCIGA GOŁĘBIE?

Kto ze skrzydlatych został u nas na zimę? Jak wynika z listów - pozostali (lub przylecieli na przezimowanie) ci przedstawiciele ornitofauny, którzy - powinni! A więc - przepisując wprost z listu **Grzegorza Kaczorowskiego z Częstochowy - sikory, kowaliki, pełzacze, dzwońce, trznadle, makolągwy i zięby** a także **kosy** nie mówiąc o wróblach. Autor listu - podobnie jak **Wojciech Michałowski z Gorzowa Wlkp**. - wymienia też **szpaki**. Ale Grzegorz zaobserwował też zimującego **kobuza**. To trochę dziwi, bo jesienią i zimą widujemy raczej - i to rzadko - sokoła drzemlika.

W liście tym - jak i w wielu innych listach - mamy też wiadomość o **kwiczołach**, które *„razem z kosami licznie występują w sadach, gdzie bardzo chętnie żywią się starymi, nie oberwanymi jabłkami. Obserwowałem także nocujące kwiczoły. Widziałem je śpiące na obrzeżu małych lasków iglastych. Siadywały one nawet nisko nad ziemią, bo gdy szedłem ścieżką przez las, już o zmierzchu, po prostu zrywały mi się spod nóg".*

List Grzegorza wprowadza nas też w następny temat: zimowe żerowanie ptaków. *„Jedno z moich spostrzeżeń dowodzi, że owady bardzo chętnie kryją się w ziemi. Np. w oberwanych zboczach lub nawet w miejscu zwalonego drzewa powstaje wyrwa po korzeniu, gdzie kryją się owady. Właśnie tam zobaczyłem mnóstwo sikor i pełzaczy".*

Według **Pawła Ulaniuka z Frankowa w woj. olsztyńskim** – sikory wydziobują resztki z kości porzuconej przez psa na podwórku. Z kolei sroki korzystają z pokarmu dla sikor. *„Mam z nimi sporo kłopotów, często zrywają mi słoninę dla sikor. Gdy zacząłem wieszać ją na pionowo zawieszonym patyczku - sroki przedziobały nitkę mocującą patyczek do gałęzi. No cóż, będę musiał przywiązać nowy, ale żyłką wędkarską".*

Henryk MIrkowski z Woli Łęczeszyckiej obserwował stada ptaków, którym zimowy dzień schodzi przede wszystkim na poszukiwaniu żeru (zadanie listopadowe nr 1 - aktualne do wiosny). Spotykał m. in. w sadzie takie stadko, liczące ok. 50 sztuk. *„Były w nim sikory bogatki, modre, jedna czarnogłowa, kilka szczygłów i jeden dzięciołek, który zachowywał się tak, jakby to towarzystwo mu odpowiadało. Większość bogatek żerowało wraz ze szczygłami na ziemi. Tydzień później spotkałem stadko, w którym był też dzięcioł, ale średni, pełzacze, kowaliki i bogatki. Zaobserwowałem, że dzięcioły i kowaliki żerują na pniach i grubych gałęziach drzew, pełzacze głównie na pniach, bogatki na pniach, grubszych i cieńszych gałęziach. Natomiast inne sikory żerują na gałęziach - tak cieńszych jak grubszych. Moim zdaniem — ptakami unikającymi tych stad są raniuszki..."* List ten dość trafnie ukazuje charakterystyczny podział ról, jaki istnieje u zimujących ptaków owadożernych. Grupują się one w stada, ale nie wchodzą sobie w drogę, gdyż tworzące je gatunki penetrują inne części drzew i krzewów. To prawda, że raniuszki na ogół tworzą odrębne stada, nie łącząc się z sikorami.

Listów na powyższy temat jest więcej, ale na razie poprzestaniemy na dotąd cytowanych, by przejść do ptaków drapieżnych, budzących wciąż szczególnie żywe Wasze zainteresowanie.

Andrzej Chmielewski z Międzyrzecza: *„... Obserwowałem sposób łowów jastrzębia. Jastrząb, siedząc na drzewie, obserwuje zbierające nasiona gołębie. W pewnym momencie atakuje stadko próbując złapać jednego, co mu się zresztą najczęściej nie udaje. Wówczas drapieżca znajduje się w sytuacji, w której pogoń za stadem byłaby «nierozsądna» i męcząca. Wtedy jastrząb - i tu uwaga! - widząc gołębie krążące nad nim i zataczające wielkie koła. robi o wiele mniejsze koła i zatacza je wolno, podczas gdy gołębie robią duże i z dużą prędkością; jastrząb robi jedno małe koło, gołębie dwa duże. Gołębie szybko się męczą, a jeszcze jastrząb straszy gołębie, które wtedy przyspieszają. Gdy już jastrząb wymęczy stado, wybiera sobie jedną ofiarę, która zostaje z tyłu za stadem, i błyskawicznym atakiem dogania ją i chwyta. Gołąb jeszcze próbuje się ratować i robi szybkie «fikołki», ale to i tak nic nie pomaga*". Autor listu dodaje, że zaobserował również inne formy łowów jastrzębia - m. in. tzw. łowy „w tandemie". No więc - czekamy na kolejne wieści.

Do tych, które zamieściliśmy tym razem, dołączamy zdjęcie jastrzębia przy gnieździe, zgodnie z życzeniem **Barbary Lisowskiej z Żórawiny k. Wrocławia**, która postuluje, by więcej było w klubie zdjęć ptaków drapieżnych.

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**



Rodzice czasem nie mają racji

(PAP). Większość pediatrów francuskich uważa, że rodzice nie mają racji, zabraniając swoim dzieciom ssania palców. Aż do ósmego roku życia ryzyko utrwalania się wady zgryzu jest niewielkie i nie usprawiedliwia pozbawienia dziecka tej przyjemności poprawiającej samopoczucie, zwłaszcza niemowlętom.

Stanowisko to, podane do publicznej wiadomości przez francuski komitet do spraw dziecka, pozostaje w sprzeczności z metodami wychowawczymi. które nakazują stanowczą walkę ze ssaniem palców.

Lekarze są zdania, że środki mające zmusić dziecko do zaprzestania ssania palców są wręcz szkodliwe. Zwyczaj ten powinien ustąpić samoistnie w wieku 7-8 lat.

Tropikalna roślinność... w Arktyce

(PAI). W kilku rejonach Spitsbergenu znajdują się złoża węgla kamiennego. które mogły powstać tylko w wilgotnym i bardzo ciepłym klimacie. W południowej części wyspy Zachodni Spitsbergen znajduje się zapadlisko wypełnione warstwami węglowymi z okresu trzeciorzędu. Resztki dawnej flory pozwalają datować te złoża na ok. 65-40 mln lat temu. Uczeni przeprowadzili analizę zwęglonych szczątków i odcisków dawnych roślin, co pozwoliło odtworzyć ówczesne środowisko przyrodnicze i warunki klimatyczne. Były tam rośliny żyjące dziś w okresie zimowym, np. klony, lipy, brzozy. Występowały również ciepłolubne rośliny iglaste, palmy i paprotniki. Dolne warstwy węglonośne tworzyły się w płytkich zatokach morskich, górne - w jeziorach.

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA rzuca się na szyję jakiemuś przechodniowi...
- Kaziu Iksiński, mój kochany szkolny kolego! Jakże się zmieniłeś przez te dwadzieścia lat: wyłysiałeś, urósł ci brzuch, zgarbiłeś się...
- Ależ proszę pana, to pomyłka! Po pierwsze: nie nazywam się Iksiński, tylko Ygrekowski...
- No, popatrz, nawet nazwisko sobie przesunąłeś o jedną literę dalej!

★

W ZAPADŁYM MIASTECZKU na Dzikim Zachodzie słynny „pistolero" Szybki Joe zabił strażnika w czasie napadu na bank, ale został schwytany. Natychmiast wysyła telegram do swojego adwokata, proponując mu pięć tysięcy dolarów za skuteczną obronę. Odpowiedź brzmiała:„Przyjeżdżam jutro z trzema stuprocentowymi świadkami."

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 20 (3950)
Wychodzi: wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-9321

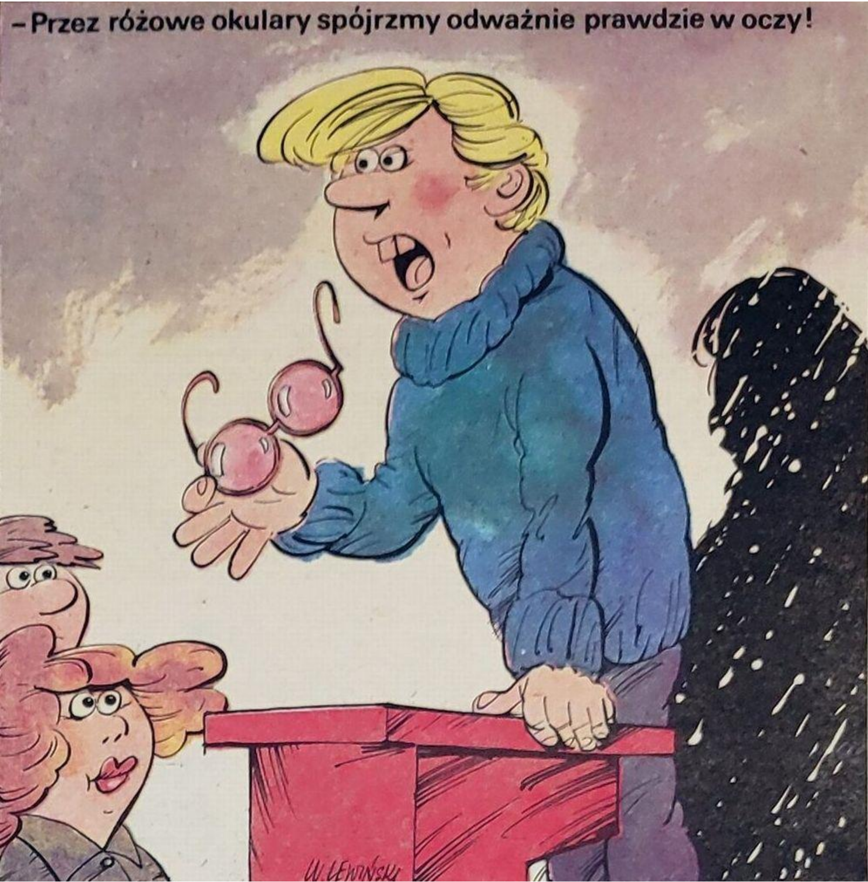
NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekr.redakcji).
TELEFONY: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch'" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03-965 Warszawa, ul. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska


Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 384/G. N-29
Nakład 500 000



Ach, co za portret! Takiego jeszcze nie było! Autorkę - **Monikę Kowalczyk** zapisuję do Rzepklubu.



Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Pewien zweryfikowany członek Rzepklubu napisał do mnie tak: *Pytasz, co słychać u mnie? Właśnie zapiał Kleofas (to nasz kogut)... a co u ciebie, Rzepie?*

U mnie niby cicho, a jednak... coś słychać. To jakby delikatny, cieniutki pisk- nie pisk, szum - nie szum, jak na początku płyty zanim zacznie grać. Taki nieuchwytny dźwięk wydaje CZEKANIE. A ja właśnie czekam na wiosnę, na ciepłą wodę w rzece, na ćwierkanie, kumkanie, kwakanie, wzdychanie i na ogólnie lepsze czasy.

*

Marek Wojtczak melduje, że ustanowił rekord budowlany: ustawił dziesięciopiętrowy domek z kart. Meldunek potwierdzili rodzice. Przypominam, że Księga Rekordów „Świata Młodych" czeka na dalsze wpisy.

*

Ewa Leśniak, którą zapisuję do Rzepklubu proponuje Wam kilka anegdotek:

– Kubusiu, czy wiesz, kto to jest hipokryta?
– To taki, panie profesorze, co mówi; że bardzo chętnie chodzi do szkoły.

*

– Słyszę, że ktoś chodzi po naszym przedpokoju...
– Co robić?!
– Obudź psa!..

*

– Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze, ale w tym kwartale nie dostałam premii...
– Wybaczam pani, koleżanko.

*

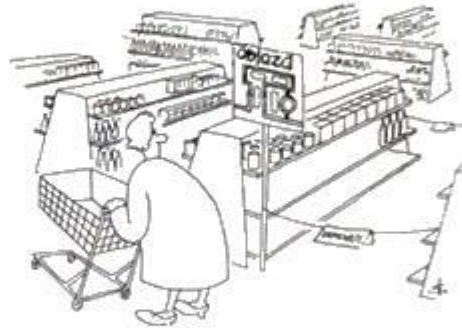
PS. Poza wiosną i lepszymi czasami czekam także na Wasze listy!

Do zobaczenia!
Wasz Rzep

RZEPKLUB

Żarty wyszperali: **Edyta Łuszczki, Katarzyna Zalewska, Renata Dybalska, Olga Sztejnert** oraz **S. i P. Skowrońscy**. Zapisuję ich do klubu







na brunatnym płynem. Ale to nie była herbata. Na parapecie, do którego dosunięty był stół, pyszniła się duża butelka z etykietą, na której napis brzmiał: Rum Jamaica. Prawie słyszałam echo piosenki o umrzyka skrzyni i stukot drewnianej nogi pirata, wycie wichru i suchy odgłos strzałów. Prawie byłam na wyspie skarbów. Przycisnęłam pióra do piersi i oderwałam je natychmiast, bo mogły się pognieść. Były delikatne i nie ważyły nic, nie były ciepłe ani zimne i paliły się wszystkimi barwami.

Mama obserwowała mnie. Potrząsnęłam głową i skinęłam mamie, że już, już się obudziłam.

- To jest twój ojciec - powiedziała powoli. - Pan Pohoży jest twoim ojcem.

Zamrugałam powiekami i wyciągnęłam przed siebie ręce. Pióra zaczęły sfruwać na ziemię. W ostatniej chwili chwyciłam jedno i niosąc je przed sobą, pomknęłam do drzwi, a potem zamknęłam się w swoim pokoju.

Siedziałam na łóżku, trzymałam pióro w ręku, patrzyłam na nie, a głuche rozczarowanie szalało w moich piersiach. Ten człowiek był zwyczajny. To nie był jeździec bez głowy ani człowiek znikąd. Nie był to wieczny tułacz ani nawet Staś Tarkowski.

- Cholera - zaklęłam jak mama, starając się nadać głosowi maminy ton. - To nawet nie jest Robinson Cruzoe.

A Robinson Cruzoe miał przecież naprawdę nieciekawe i naprawdę monotonne życie na tej swojej wyspie.

Ten mężczyzna nazywał się Pohoży, a nie Armstrong, Cook, Kolumb czy Amundsen, tylko Pohoży, i musiał okazać się moim ojcem. Nigdy nie marzyłam o ojcu.

Patrząc na drzwi mojego pokoju, powiedziałam mu z szatańskim sarkazmem:

- A pióra to mi na pewno przyniosłeś sztuczne.

Wolałabym, jak do tej pory, nie mieć ojca. Sto razy bardziej lubiłam męża mojej mamy, który już przestał być jej mężem. Nie był nikim nadzwyczajnym, ale był od dawna, i nawet nie miałam do niego żalu o to, że jest tak normalny. I chorowity.

Położyłam się na łóżku, gniotąc ogień pióra, i zaczęłam cichutko płakać. Dopiero po chwili pomyślałam, że wszystkiemu winna jest mama, która nadała mojemu ojcu tak wspaniałe przezwiska. Gdybym ich nie słyszała, jego opowiadanie zupełnie by mi wystarczyło, a mój ojciec stałby się dla mnie podróżnikiem i nigdy bym nie pomyślała ani o jeździcu znikąd, ani o jeździcu bez głowy, ani nawet o wiecznym tułaczu.

Z pretensją do mamy zasnęłam. Oko lufy spoglądało cichutko między moje oczy. Karabinu nie widziałem, jak nie widziałem człowieka, który go trzymał.

(Z kapciami w ręku, pochylona, zamarłam i wstrzymałam oddech. Nie znałam tego głosu, był spokojny, niezbyt głęboki i lekko schrypnięty. Zgadywałam, że mógłby stać się donośny i napełnić cały nasz dom dudnieniem okropnym i władczym. A on mówił dalej.)

Ścieżkę rozjaśniał blask księżyca, ale człowiek z karabinem stał pod olbrzymim platanowcem, w jego cieniu, i tylko wysunięta do przodu lufa pełgała zimną poświatą.

- Ręce do góry.

To była dziewczyna albo kobieta. Jeśli można sądzić o głosie według lodowatego, syczącego szeptu, to miała miły głos. I trochę się bała.

Trzymałem ręce w górze i patrzyłem w oko lufy, a kiedy minęła stosowna chwila, spytałem:

- Co dalej?
- Nie gadać.
- Mierzysz w moje oczy. Jeśli ci palec drgnie, dostanę zeza.

Lufa nie poruszyła się, jakby kobiecie czy dziewczynie było wszystko jedno. Jakby postanowiła zatrzymać mnie i jakby było jej obojętne, czy zatrzyma mnie w pozycji stojącej, czy też leżącej. Przestąpiłem z nogi na nogę i ostrożnie zabrałem swoją głowę z linii strzału, a ona nie nacisnęła spustu. Odetchnąłem.

Trzymałem ręce w górze i słuchałem świstu wiatru nad naszymi głowami. Wiał miarowo, potężnie i bez zatrzymania, jakby leciał tak nad ziemią już wiele lat i jakby ów lot znudził go, ale jakby cel był jeszcze daleko. Nie był to żaden z naszych wesołych wietrzyków i żadna z naszych porywistych wichur. Ten wiatr był jednostajny jak sam czas.

- Nie jestem sama - powiedziała nagle dziewczyna. Już wiedziałem, że to dziewczyna. W jej słowach usłyszałem lęk, że zostawiono ją bez pomocy i że ma przeciwko mnie tylko kawałek tego żelastwa w rękach, i usłyszałem, że nie wierzy już w to żelazo.

Cdn.



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW 16

EPOKA TECHNICZNYCH CUDÓW

BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST **RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ**

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku powstało wyjątkowo dużo wielkich, zadziwiających i po dziś dzień służących nam wytrwale wynalazków. Znaczna ich część narodziła się w Ameryce, która właśnie w tym czasie wyszła na czoło rozwiniętych krajów i zaczęła nadawać ton postępowi cywilizacji technicznej.

Była to epoka ogromnego rozwoju przemysłu. W wielu dziedzinach, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, zapoczątkowano wówczas masową produkcję ze znormalizowanych, jednakowych części zamiennych (oznacza to, że każda część pasowała do każdego odpowiedniego urządzenia - co dzisiaj wydaje się nam oczywiste, a wtedy było nowością). Wykorzystano w ten sposób w praktyce doświadczenia nabyte we wcześniejszych - podejmowanych już od końca XVIII wieku - próbach, związanych z wytwarzaniem broni palnej. Rozpoczęły pracę pierwsze automatyczne obrabiarki. Na największą skalę działo się to wszystko w Ameryce, w Europie zaś głównie w Niemczech. Wielka Brytania, choć znajdująca się wówczas u szczytu swej potęgi, w mniejszym stopniu uczestniczyła w tworzeniu nowej techniki.

Najbardziej efektowne z ówczesnych wynalazków związane były z elektrotechniką. W1876 roku Amerykanin Alexander Graham Bell stworzył telefon. Rozmawianie za pośrednictwem drutów na odległość stało się sensacją dnia. Już od 1878 roku zaczęły powstawać miejskie centrale telefoniczne, a w 1889 pojawiły się centrale automatyczne.

Jeszcze większym wydarzeniem było wynalezienie praktycznego oświetlenia elektrycznego. Wprawdzie już od lat czterdziestych XIX wieku konstruowano we Francji i w Anglii lampy wykorzystujące zjawisko tzw. łuku elektrycznego - iskry powstającej pomiędzy niezbyt oddalonymi od siebie elektrodami (czyli biegunami o odmiennych ładunkach elektrycznych, plusowym i minusowym), ale miały one liczne wady. Podstawowy kłopot sprawiało wypalanie się elektrod - z upływem czasu odstęp pomiędzy nimi stawał się zbyt duży i lampa gasła. Żeby temu zapobiec, próbowano stosować mechanizmy zegarowe, stopniowo przybliżające elektrody.

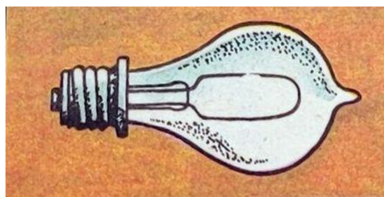
Problem udało się skutecznie rozwiązać dopiero w 1876 roku. Dokonał tego Paweł Jabłoczkow, Rosjanin pracujący wówczas w Paryżu. Ustawił on elektrody we właściwej odległości równolegle obok siebie i zastosował prąd zmienny, w wyniku czego nieustannie zmieniał się znak ich ładunku (plusowa stawała się za moment minusową i na odwrót). Dzięki temu elektrody wypalały się w jednakowym tempie i odstęp pomiędzy ich końcami pozostawał zawsze taki sam. Tak udoskonalone lampy łukowe, zwane „świecami Jabłoczkowa", stosowano od 1877 roku do oświetlania placów i dużych sal. Nie nadawały się one jednak do oświetlania mieszkań, gdyż świeciły zbyt silnie. I na to nic już nie można było poradzić.

Od lat czterdziestych próbowano również zbudować źródło światła oparte na zjawisku żarzenia się niektórych substancji pod wpływem przepływającego przez nie prądu elektrycznego. Nie zdołano jednak stworzyć niczego, co by świeciło dłużej niż kilka minut. W 1879 roku podjął to zadanie Amerykanin Thomas Alva Edison, największy wynalazca



wszystkich czasów, człowiek który uzyskał w swej karierze ponad tysiąc patentów. Już wówczas był on sławny, nazywano go „czarodziejem z Menlo Park" (w tej miejscowości znajdowało się jego laboratorium, w którym pracował nad wynalazkami wraz z zespołem starannie dobranych, bardzo zdolnych asystentów).

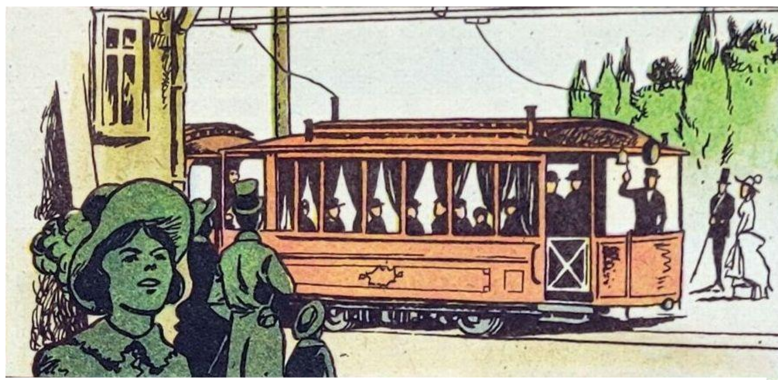
Prace były żmudne i trwały kilka miesięcy. Edison podzielił swych pomocników na zespoły, z których każdy zajmował się rozwiązywaniem innego, ważnego problemu. Największe kłopoty sprawiało znalezienie odpowiedniego materiału żarzącego - przebadano pod tym kątem tysiące rozmaitych substancji. Można powiedzieć, że długo nie mogąc wynaleźć żarówki elektrycznej, Edison wynalazł w tym celu nowoczesną metodę wynajdywania, która w końcu doprowadziła do jej powstania. 'Ostatecznie, cała sprawa zakończyła się największym z jego sukcesów. Udało mu się skonstruować żarówkę z włóknem



węglowym, świecącą przez kilkadziesiąt, a po dalszych ulepszeniach ponad sto godzin. W noc sylwestrową 1879 roku Edison urządził w Menlo Park Iluminację przy użyciu ośmiuset żarówek.

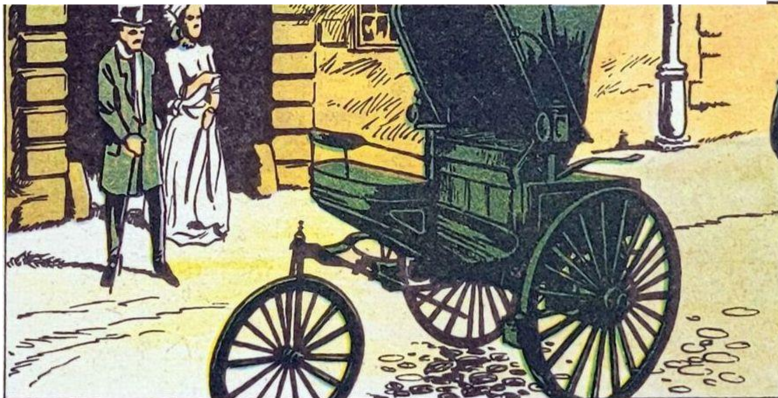
Nowe źródło światła rozpowszechniło alę bardzo szybko. Edison opracował w związku z tym cały system rozprowadzania prądu elektrycznego do poszczególnych odbiorców. W 1882 roku stworzył w Nowym Jorku pierwszą w dziejach elektrownię miejską, sprzedającą energię elektryczną użytkownikom. Już w rok później powstały podobne elektrownie w Mediolanie i w Petersburgu (dzisiejszym Leningradzie, który był wówczas stolicą Rosji), a w 1884 roku w Berlinie.

Oświetlenie elektryczne jest z pewnością jednym_z największych udogodnień naszych czasów. Ale dokonano wówczas również innych ważnych zastosowań prądu elektrycznego. Najwybitniejszym europejskim wynalazcą w tej dziedzinie był Niemiec Ernst Werner Siemens. W1879 roku skonstruował on lokomotywę elektryczną. Dzięki temu w 1881 roku ruszyły w Berlinie pierwsze tramwaje



elektryczne, a w 1882 roku pierwsze kolejki elektryczne w niemieckich kopalniach Elektryfikację sieci kolejowej zapoczątkowano w Stanach Zjednoczonych w 1895 roku.

W Niemczech narodził się również samochód. Stworzyli go w latach 1885-1886 niezależnie dwaj konstruktorzy - Gottlieb Daimler i Carl Benz. W1890 roku obaj otworzyli fabryki samochodów. Nowy pojazd szybko zdobył sobie popularność. Powstawały rozmaite jego rodzaje, budowane przez innych pionierów europejskich i amerykańskich. W 1894 roku wyposażono samochód w opony pneumatyczne, wynalezione w 1888 roku (dla roweru) przez Szkota Johna Dunlopa mieszkającego w Irlandii Północnej. W tym samym, 1894 roku, odbył się we Francji pierwszy wyścig automobilowy na trasie Paryż - Rouen.



Udoskonaleniu uległ również napęd parowy. Angielski inżynier Charles Persona wynalazł bardzo wydajną turbinę parową, opartą na tej samej zasadzie co starożytna zabawka Herona z Aleksandrii. W 1894 roku zastosowano ją do napędu stateczku o nazwie „Turbinie", z nader pomyślnym rezultatem — rozwijał on prędkość prawie 35 węzłów (czyli 64 kilometrów na godzinę). Na morzu, nawet jeszcze dzisiaj, jest to szybkość bardzo duża - wówczas była wręcz rewelacyjna. To też od 1897 roku zaczęto wyposażać w napęd turbinowy okręty brytyjskiej marynarki wojennej.



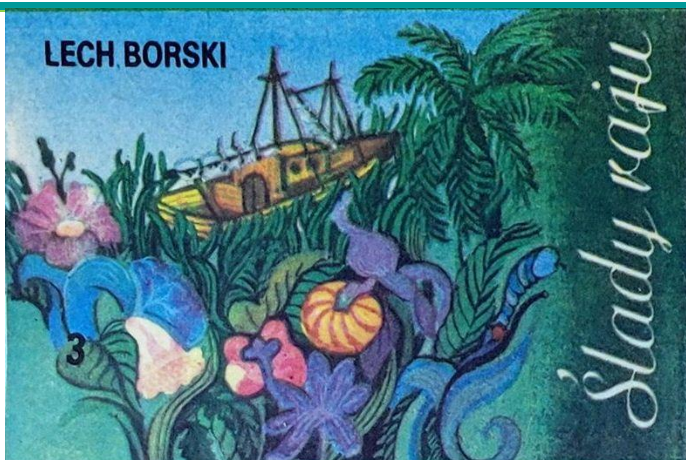
W okresie tym dokonano też postępów na drodze wiodącej do zbudowania praktycznej łodzi podwodnej. Wśród licznych pracujących w tej dziedzinie pionierów był Polak, Stefan Drzewiecki, działający w Rosji i we Francji. Jego pomysłu były pierwsze wyrzutnie torpedowe, funkcjonujące przy użyciu sprężonego powietrza. Nowoczesne okręty podwodne powstały pod koniec ubiegłego stulecia we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Odegrać miały (zwłaszcza niemieckie) poważną rolę podczas pierwsze) wojny światowej (1914-1918).

W epoce tej weszła również w użycie maszyna do pisania. Najwybitniejszym spośród jej pionierów był Amerykanin Christopher Sholes. Od 1873 roku maszynę jego konstrukcji produkowała znana wówczas wytwórnia karabinów firmy „Remington", od 1876 roku na wielką skalę. Jednym z pierwszych jej użytkowników był pisarz amerykański Mark Twain, a pierwszą napisaną na niej książką „Przygody Tomka Sawyera" (1876). Z pisarzy europejskich pierwszy sięgnął po maszynę do pisania Lew Tołstoj, a z polskich Bolesław Prus. W latach osiemdziesiątych zaczęto w Stanach Zjednoczonych stosować nowoczesne urządzenia drukarskie, znacznie przyspieszające składanie tekstu.

Amerykańskim wynalazkiem był także gramofon i sposób produkcji płyt gramofonowych. Dokonał tego w 1887 roku imigrant z Niemiec, Emil Berliner. Czarodziejskie pudełko wyposażone w wielką tubę, odtwarzające zaklęty w płytach dźwięk, zrobiło błyskwiczną karierę i stało się jednym z najbardziej charakterystycznych elementów owej epoki - epoki technicznych cudów...



OKRĘT PODWODNY Z OKRESU I WOJNY ŚWIATOWEJ



Kiedy weszłam do kuchni, mężczyzna znów siedział przy stole, zobaczyłam jego plecy okryte granatową kurtką. Moja mama, tak jak się spodziewałam, siedziała naprzeciw niego, ale między nimi, na stole, nie było ciasta. Leżało tam coś, co się paliło niebiesko i zielono, czerwono i złoto, i bił od niego potężny, niesamowity blask, który natychmiast kazał mi zapomnieć o mężczyźnie i mamie. Blask mnie przyciągał. W jakiś dziwny sposób pasował do opowieści mężczyzny, która przecież była mroczna i ponura, a blask jaskrawy jak tysiąc słońc.

Mama coś mówiła, ale ja patrzyłam na blask. Mężczyzna chyba wstał i zwracał się do mnie, poruszał się, bo blask zagrał nowymi kolorami, kiedy cień mężczyzny przesuwał się po nim i kiedy uchodził na bok. Mężczyzna chyba coś mówił, ale dla mnie istniał tylko blask, który jarzył się i pełgał, a potem mężczyzna dotknął mnie, przez sekundę czułam na policzku szorstkość jego kurty, ale patrzyłam na blask.

- Maga! - powiedziała mama i chyba powtarzała to kolejny raz. - Maga. Maga. Małgorzata!

- Tak?

Patrzyłam na blask. Już wiedziałam, że jest to pęk piór, piór, jakich nigdy nie widziałam! Jakich nie mogłam sobie wyobrazić, pęk piór Żar-Ptaka, a może ptaka Ra, a może ptaka rajskiego, a ten pęk emanował ciągle nowymi falami barw.

- Maga. Przywitaj się.

Podniosłam rękę do powitania, ale patrzyłam na blask. Coś poderwało mnie w powietrze i okręciło, aż na chwilę straciłam blask z oczu, ale blask zaraz wrócił, i czyjeś wargi musnęły mój policzek, i mężczyzna mówił:

- Tak ją sobie wyobrażałem.
- Maga. Powiedz dzień dobry panu Pohożemu.

Mężczyzna postawił mnie na ziemi. Powiedziałam:

- Dzień dobry.
- Dygnęłam, ale patrzyłam na blask.
- To dla ciebie.

Blask i pióra zerwały się ze stołu i sfrunęły w moje dłonie, które ruszyły ku nim. Trzymałam to w ręku, ale to nie było ciepłe, i to nie było zimne, i nie ważyło nic, jarzyło się tylko, pulsowało, przelewało światłem.

- Podziękuj panu Pohożemu.
- Dziękuję.

Przytomniałam powoli, ale przytomniałam. Ciągle znajdowałam się w kuchni i dla pewności zaczęłam sobie wyliczać wszystkie znajome przedmioty, a zaczęłam od pieca, bo był najsolidniejszy i najbardziej pewny ze wszystkich, co istnieje na świecie.

Potem mogłam spojrzeć na mężczyznę. Nie był jeźdźcem bez głowy. Głowę miał i widziałam bardzo opaloną twarz z kilkoma głębokimi zmarszczkami na czole i policzkach. Siwiał na skroniach. Oczy miał szaroniebieskie, jasne, usta wyraźne i trochę niepewnie uśmiechnięte. Opuściłam wzrok na ręce: były duże, ale widywałam większe, i to w naszej osadzie.

- Dzień jdobry panu - powiedziałam i dygnęłam.
- Maga. Już się witałaś - zawołała mama. - Obudź się.
- Przepraszam.

Mężczyzna roześmiał się i znów usiadł, ale bokiem, żeby mnie dobrze widzieć. Na stole, tuż przed nim, stała szklaneczka do połowy napełnio-

Dokończenie na str. 7